KWIECIEŃ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM X

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a. TEL. 610-36.

KWIECIEŃ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM X

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

TREŚĆ:

O DUCHA POLSKIEJ KONSTYTUCJI.

Stoimy — zdaje się — u progu realizacji owego wielkiego dzieła „Naprawy Rzeczypospolitej“, które od kilku wieków stanowi istotną oś obrotu naszych dziejów — prawdziwą walkę światła z ciemnością, instynktu samozachowawczego narodu z żywiołami anarchji i destrukcji.

Marzyli o tym momencie najwybitniejsi pisarze ubiegłych wieków, królowie i mężowie stanu, marzyli, ale i działali, usiłując dźwignąć tę prawdziwie syzyfową skałę, która dotąd jednak wymykała im się zawsze z rąk w pół drogi. Zdawała się bliską szczytu w dniach Konstytucji 3-go Maja, ale może właśnie dlatego runęła zaraz potem w przepaść, pociągając za sobą naród i państwo. Zdaje się być i dziś bliską celu, bo i ogólna opinja narodu, przemęczonego jałową demagogją i większość sejmu i cały rząd są za nią.

Czy tym razem powiedzie się nareszcie dzieło to doprowadzić do skutku i — co najważniejsze — utrwalić? Czy nie wymknie nam się znowu z rąk ta przekorna skała, prawdziwie już legendarna, w ostatniej chwili, pod wpływem paraliżującej w Polsce zawsze wszystko demagogji i braku decyzji?

Nie wiemy, bo nie od nas to zależy. Ale to jedno absolutnie pewnem nam się wydaje, że wszelkie połowiczne, chwiejne, nazbyt kompromisowe załatwienie sprawy będzie w praktycznym rezultacie... żadnem jej załatwieniem. Pozostaną pewne nieśmiałe poprawki, ale duch zasadniczo się nie zmieni i dlatego w ostatecznym rezultacie tryumfować będzie znowu... demagogja i anarchja.

Może zbyt pesymistyczne to zdanie — któremu oby zaprzeczyła najbliższa przyszłość! — ale patrząc zgóry, z pewnej perspektywy, na minione i obecne dzieje Polski, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że nad naszym krajem, tak niebezpiecznie eksponowanym na wszystkie strony, ciąży jakgdyby jakaś klątwa dziejowa. Mimo wszelkich bowiem dotkliwych doświadczeń i podejmowanych raz poraz rachunków sumienia, nie jesteśmy w stanie zdobyć się na — silny rząd i mocny ustrój państwa! Innych doświadczenia i nieszczęścia hartują i uczą mądrości. Nas nie były dotąd w stanie nauczyć niczego. Nie jesteśmy mądrzy nawet — po szkodzie!

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Może za rok lub dwa znajdziemy się w tem szczęśliwem położeniu, że będziemy mogli wszystko powyższe odwołać i pisać w radosnym optymiźmie. Na razie chodzi nam przedewszystkiem o coś innego.

Każde dzieło ludzkie jest niejako odbiciem człowieka, a więc składa się, jak on, z ciała i duszy (oczywiście w obrazowem ujęciu). Tak i konstytucji, którą mamy uchwalić, musimy nietylko dać mocną strukturę, ale i wlać w nią ducha — i to właśnie tego najlepszego „ducha dziejów Polski“, któremu ona swój dawny, świetny rozwój zawdzięcza i który i dziś jeszcze rację jej bytu stanowi, bez którego Polska — specjalnie Polska — obyć się żadną miarą nie może. Bez tego ducha wszelka „naprawiona“ konstytucja będzie martwym, formalistycznym płodem, który w nowoczesnej, ultramaterjalistycznej ewolucji dziejów sprzątnie z powierzchni pierwszy silniejszy podmuch wewnętrzny lub zewnętrzny. O tem nasi obecni prawodawcy przedewszystkiem powinni pamiętać. Nadanie nowej konstytucji Polsce jest zgoła innem zadaniem, niż nadanie konstytucji np. jakiemuś nowemu powojennemu państewku w Europie lub jakiejś pierwszej lepszej, wybijającej się do samodzielności kolonji zamorskiej. Tam wystarczą pewne normy prawne oraz względy handlowe, dyploma-

tyczne, czy strategiczne. Z Polską ma się rzecz zupełnie inaczej.

Oddajemy głos autorowi niżej zamieszczonego artykułu.

Redakcja.

Najbliższy okres polityki wewnętrznej państwa stanie pod znakiem zmiany konstytucji. Nie wolno dać się zasugerować tym, którzy głoszą, a może i mniemają, że chodzi w tej sprawie wyłącznie o formy przyszłego ustroju Polski. Rzecz bowiem jest głębsza i bardziej istotna. Problem zmiany konstytucji, to kwestja także i ducha przyszłego ustroju Rzeczypospolitej, to sprawa rozbudowy odpowiedniego nastroju i nastawienia duszy i dążeń polskiego narodu i wytknięcia nowej trasy dziejowej dla jego rozwoju.

Nie mówiąc już o oczywistem niebezpieczeństwie zepchnięcia tego rozwoju wprost na bezdroża błędnej ideologji społecznej czy państwowej, wskazać należy, że groźną byłaby nawet wszelka połowiczność w załatwieniu sprawy przy dobrych zresztą chęciach, wszelkie niedomówienia, wszelka sprzeczność z istotą tradycji dziejowej i głębszą racją bytu Polski.

Demagogja zakrzyknie: „A co mi tradycja! Polska zaczyna się od dziś i albo będzie integralnie demokratyczna, albo nie chcemy jej wcale!“. Takich krzykaczy pełno jest na wszelkich jarmarkach politycznych, gdzie za liczmany czczych obietnic i szumnych frazesów sprzedaje się Polska, a kupują się mandaty. Parskają nienawiścią na całą przeszłość dziejową, której doświadczenia chcą wręcz odrzucić i pogrzebać, w zarozumialczem mniemaniu, że tupet demagogiczny i dorobkiewiczowstwo duchowe, zyskane z dnia na dzień w perypetjach kuluarów politycznych, pasują ich na nowoczesnych „mężów stanu“.

Na karki takich fałszywych proroków-lekarzy kładł już twardą rękę Mickiewicz, piętnując różnych znachorów politycznych tego rodzaju, chcących zbawiać Polskę według doktrynerskiej recepty demokratycznej, czy innej podobnej, byle tylko w zupełnem oderwaniu od pnia dobrej tradycji dziejowej, od rodzimego podłoża, na którem wyrosła polityczna odrębność i wielkość nasza.

Tacy zbawcy ojczyzny i statyści nie są w stanie patrzeć dalej od końca własnego nosa i chwilowego, doraźnego, własnego interesu. Tradycję narodową mają za nic, bo nie rozumieją jej wcale, nie mają jej we krwi, umieli się przeciw jej głębokim naukom i życiodajnym siłom „uodpornić“ przez zastrzyk toksyny radykalnego modernizmu, internacjonalizmu, czy innych „izmów“, preparowanych w retortach demagogicznej alchemji, obliczonej na głupców, szkodzących sprawie narodowej i państwowej.

Kto jednak rzeczywiście miłuje ojczyznę, kto ma głębsze zrozumienie dla jej żywotnych potrzeb i warunków pomyślnego rozwoju, ten musi współpracować nad wzniesieniem owego złotego mostu, łączącego przeszłe i przyszłe dzieje narodu ponad przepaścią okresu niewoli i dzisiejszych, demagogicznych wertepów ludowładztwa. Wiązania pod ten most zbudowała już wielka nasza poezja i filozofja narodowa, doszukująca się w dziejowym dorobku Polski pewnej myśli przewodniej, z którą naprzód trzeba „iść i świecić“.

Dziś — w momencie przystąpienia do dzieła naprawy konstytucji i wogóle naprawy ustroju w szerszem tego słowa znaczeniu — wzgląd na tradycję, obok względu na nowoczesne potrzeby bytu państwa, to dwa gówne filary, na których postulat przyszłej wielkości politycznej Polski równocześnie oprzeć się musi.

Jakież to walory i doniosłe wskazania dla naszych czasów znajdujemy w naszych dziejach?

Wrogowie tradycji, zwolennicy materjalistycznego

modernizmu, krzykną zapewne: „Wiemy, wiemy! Bóg i ojczyzna! Polonia semper fidelis! Mamy dość tych frazesów, my, ludzie XX wieku! To dziś trąci myszką!".

Tak, jakgdyby głębsze, rzetelne zrozumienie współczesności miało prowadzić do konfliktu z przeszłością!

Wiele wprawdzie jest w tej przeszłości naszej stron ujemnych, związanych z naturalną, stopniową ewolucją pojęć i kultury. Tych nietylko upiększać czy ukrywać nie należy, ale przeciwnie, wyciągnąć z nich trzeba zbawienną naukę. Ale jest w naszej przeszłości coś, czego pod sankcją egzystencji państwowej negować nam nie wolno i to nietylko z moralnego, ale nawet i z politycznego punktu widzenia. A jest to ścisły związek ducha dziejów Polski z rzymskim chrystjanizmem — z religją katolicką. To też antagonizm nowoczesnych ludowładców i grabarzy tradycji do tego dziejowego związku polskości z katolicyzmem niezmiernie jest charakterystyczny. Jest bowiem skierowany przeciwko jednemu z największych walorów naszego dorobku dziejowego, przeciw temu, co było prawdziwą dźwignią polskiego wysiłku historycznego, co zapisało nam najpiękniejsze i najpotężniejsze karty w dziejach i stworzyło naszą specyficzną odrębność duchową, tak odporną na wszelkie eksterminacyjne zakusy wschodu i zachodu!

Patrząc więc na ten cały zaciekły opór protagonistów materjalistycznego modernizmu i nowoczesnej demagogji przeciw temu, co ufundowało podstawy polskiego państwa i narodu, odnosi się mimowoli wrażenie, że działają oni jakgdyby w myśl postronnych, wrogich nakazów, jako owe słynne „obce agentury"!

Nie ulega żadnej wątpliwości, że katolicyzm w Polsce stał się dziś u wielu zdawkowym frazesem, którym ocierają sobie usta, niby serwetką, po okolicznościowej „patrjotycznej biesiadzie". Lecz znaczenia i roli w Polsce katolicyzmu nie godzi się oceniać miarą płytkości umysłowej

pewnych sfer, czy pewnych czasów, czy modnych haseł. Nie należy doszukiwać się i mierzyć ich wpływu w epokach upadku i marazmu lub rozszalałej chwilowo demagogji — lecz szukać ich należy w chwilach dziejowego rozkwitu, kiedy naród kroczył szerokim gościńcem swej misji historycznej, kiedy świadomie realizował swą wolę istnienia i działania. Nie w martwych bowiem, gnijących sadzawkach zastoju życia społecznego, lecz w wartkim nurcie wspaniałej rzeki naszej ekspansji dopatrywać się trzeba sensu i treści ducha narodowego.

Gdy z tej strony spojrzymy na nasze dzieje, to dopiero ocenić zdołamy właściwą rolę rzymskiego chrystjanizmu w naszym bycie narodowym, zrozumiemy dopiero, dlaczego najświetniejsze momenty naszej historji, jak również wspaniałe momenty odradzania się państwowego raz po raz po chwilowych klęskach wojennych, zbiegają się wyraźnie ze wzrostem natężenia życia religijnego i świadomości religijnych zadań i celów istnienia naszego narodu. Wszak Psie Pole, Płowce, Unja z Litwą, Grunwald, Kłuszyn, Częstochowa, Wiedeń — te epokowe słupy chwały i tryumfu polskiego oręża czy polskiej polityki mocarstwowej — wynikły z najgłębszego związania się narodu z ideą katolicką. Związek ten zrozumiał głęboko i podniósł w najszczytniejszych swych utworach poetyckich Mickiewicz, w prozie zaś podniósł go Sienkiewicz na piedestał nawet politycznej racji stanu polskiego narodu.

Cała jego Trylogja tym właśnie natchniona jest duchem, który zwłaszcza w „Potopie“ dominującą gra rolę. Groźna, ale przepyszna jest tam scena — stanowiąca właściwie punkt kulminacyjny twórczości epickiej Sienkiewicza — gdzie Wrzeszczowicz w rozmowie z posłem cesarskim Lisolą wylicza wszystkie wady społeczeństwa polskiego i na ich podstawie wydaje na państwowo-twórczą zdolność Polaków wyrok zagłady. A Lisola, zadumany, potwierdza ten wyrok w milczeniu skinieniem głowy. Obecny w tej scenie Kmicic woła w duszy z rozpaczą: „Żeby

mu można choć jedno łgarstwo zadać! Czemże mu, prócz pięścią, zanegować?!“.

I odpowiedź na to chwilowo beznadziejne i rozpaczliwe pytanie znajduje wkrótce potem Kmicic i cały naród — w Częstochowie! A przecież był to moment strasznego zalewu kraju przez przemożne siły różnorakich najeźdźców ze wszystkich niemal stron świata, zdrady we własnych szeregach, ucieczki zagranicę króla i rządu, głodu, moru i nędzy! I oto nagle błysk światła: religja, wiara! One stają się niespodziewanie dźwignią serc. Odparcie najazdu i dźwignięcie się narodu z upadku poczęło się u stóp ołtarza. Obrona świętości ołtarza stała się wprost aktem suwerenności polskiej idei państwowej!

A przecież, z czysto materjalistycznego punktu widzenia, pakt z Karolem Gustawem byłby może przyniósł Polsce wówczas spokój i stopniowy rozkwit. Możeby na fundamentach dawnej Polski powstało było państwo, sięgające od morza Północnego do morza Czarnego? Ale to pewna, że załamałby się za tę cenę rozwój kultury polskiej, zniszczoną zostałaby odrębność ducha polskiego, z której słusznie jesteśmy dumni i która jest najlepszym naszym wkładem do ogólnego dorobku cywilizacji i kultury.

Jeden z najdonioślejszych etapów naszej ekspansji, który podniósł Polskę do roli pierwszorzędnego mocarstwa — Unja z Litwą — dokonał się ściśle na podłożu religijnem. Odwrotnie zaś, zlekceważenie postulatów katolicyzmu w kwestji sekularyzacji Prus zemściło się na Polsce jak najfatalniej, znacząc niewątpliwie pierwszy krok ku jej rozbiorom. Czysto utylitarny, krótkowzroczny, doraźny nasz punkt widzenia w tej sprawie stał się zarodkiem przyszłego naszego upadku.

Słowem — wszystko to, co składało się w Polsce na trwały dorobek dziejowy, począwszy od Mieszka I-go, co wytwarzało rozkwit państwa i jego kultury, wynikało z głębokiego podłoża katolickiego i szczerego religijnego ducha.

Duch ten objawił się także szeregiem wybitnych, acz niestety pojedyńczych tylko przykładów w dniach klęski. Przykładem takim jest np. czyn Rejtana, który, choć chwilowo bez praktycznego pozostał rezultatu, zaznaczył się jednak nieprzemijającą wartością moralną, jako wyraz niepodległości duchowej, od której jaskrawo odbijają czysto utylitarne, materjalistyczne rachuby Targowicy.

Nie ulega więc wątpliwości, że katolicyzm jest integralnie związany z polskością, że bieg naszego politycznego i kulturalnego życia odrębną dzięki niemu potoczył się koleją, że duchowość polska spoczywa na głębokim fundamencie katolickiej wiary i tradycji. Odebrać narodowi naszemu oparcie o religję katolicką — równałoby się jego zniszczeniu, jego zupełnemu ideowemu rozbrojeniu w walce z protestanckiemi Prusami i prawosławną Rosją.

A doświadczenie dziejów wykazuje zawsze i wszędzie, że rozbrojenie ideowe pociąga za sobą w szybkiem tempie także i rozbrojenie materjalne!

Tego niejeden z naszych nowoczesnych polityków i „statystów", przesiąkniętych obojętnością religijną, a wierzących tylko w liczbę karabinów lub w kruczki dyplomatyczne, nie jest w stanie zrozumieć. Brak im głębszego przeświadczenia, że polska racja stanu wymaga całkiem wyraźnego i zdecydowanego oparcia się o religję katolicką i Rzym chrześcijański. To też stanowczo twierdzimy, że Polska albo będzie katolicką, albo jej nie będzie wcale. Dalszy jej los, polityczny i kulturalny, zależny jest od tego, czy zdoła ostać się jako szczerze katolicka oaza wśród protestancko-prawosławnej pustyni.

W momencie, w którymby zrezygnowała ze swej rzymsko-katolickiej odrębności, a choćby tylko pod tym względem osłabła, musiałaby zrezygnować — prędzej czy później — także ze swej suwerenności politycznej, czy to

wobec luterskiego Wotana Hitlerowców, czy też wobec Białego lub Czerwonego Cara.

Wiedzą o tem doskonale oddawna nasi wrogowie. To też wysiłki zaborców zmierzały zawsze po tej linji, aby dławić polskość przez podważenie najpierw katolicyzmu. Wykazują to jasno całe nasze dzieje porozbiorowe w Rosji i Prusach. Tu Kulturkamf, tam protegowanie marjawityzmu i wszelkich innych sposobów osłabienia katolicyzmu, były walnym środkiem do germanizacji resp. rusyfikacji Polaków. Zdawano sobie aż nazbyt dobrze sprawę z tego, że zniszczenie katolicyzmu w naszem społeczeństwie równa się zniszczeniu polskości.

Dlatego nie wolno tego fundamentalnego momentu lekceważyć przystępując do dzieła naprawy konstytucji, która w obecnych naszych warunkach politycznych winna być nietylko kontraktem ustrojowym, ale i katechizmem głębszej myśli patrjotycznej i moralno-religijnej. Wystawieni na nacisk dwuch potęg, owładniętych duchem materjalizmu i poganizmu, odzianego w pseudo-nowoczesną szatę, musimy wznieść sztandar z wyraźnie wypisanemi hasłami chrześcijańskiego idealizmu i niezłomnej katolickiej prawowierności — jeśli nie chcemy zginąć. Konstytucja polska musi zatem wyraźnie deklarować katolickie zasady, musi podkreślać katolicyzm, jako szczególnie cenne dobro moralne, bez którego zabezpieczenia zagrożone będą same podstawy bytu narodowego.

W imię prawdy naszych dziejów, w imię najwyższej naszej racji stanu, domagamy się kategorycznie, aby w nowej konstytucji było wyraźnie zaznaczone, że katolicyzm jest religją panującą w państwie (oczywiście przy szeroko pojętej tolerancji innych wyznań). I zasada ta, dobitnie i szczerze wyrażona, musi stać się podstawą całej Konstytucji, najwyższym sprawdzianem wszystkich jej postanowień, a w konsekwencji też sprawdzianem tendencji całego naszego ustawodawstwa wogóle. Katolicyzm nie

może stanowić w konstytucji tylko jakiejś ozdoby stylistycznej, ani zdawkowo potraktowanego fragmentu, niby kapliczki, wzniesionej gwoli „przyzwoitego uczczenia tradycji narodowej“ — kapliczki bez Boga!

Niech się nie wstydzą i nie żenują jasno tej sprawy postawić nasi ustawodawcy, prawnicy i politycy! Niech się nie dadzą zasugerować mimowoli tymi tysiącznymi względami „nowoczesnej sztuki politycznej“, w której „nie wypada“ różnych kwestji nazbyt wyraźnie stawiać, a natomiast dążyć do bezbarwnych a szkodliwych kompromisów wszystkiego ze wszystkiem! Niech zrozumieją, że są pewne kwestje, w których niemasz miejsca na najmądrzej nawet projektowane kompromisy i ustępstwa, a natomiast jest obowiązek jasnego postawienia sprawy.

Tak, w sztuce politycznej XX-go wieku — ogółem biorąc — niemasz niestety miejsca na sprawy religijne! Dyskutuje się głęboko nad parlamentaryzmem, administracją i gospodarstwem, a kwestje takie, jak np. wywóz bydła lub nierogacizny, wprawiają w trans politykę międzynarodową. Dla potrzeb ducha niemasz zainteresowania przy uroczystych stołach konferencji międzynarodowych, chyba niekiedy w kierunku odwrotnym — gdy chodzi o dalszą materjalizację i proletaryzację nauki.

Otóż właśnie, na przekór całemu temu modernizmowi, którym żyją i na którym zyskują tylko wrogie nam państwa lub międzynarodówki, postawmy u nas — w mądrem zrozumieniu naszej racji stanu — kategoryczny postulat religji katolickiej na pierwszem miejscu!

Dość już tego błąkania się po manowcach sztucznej politycznej religijności, która wyraziła się np. w tem, że sejm nasz uchwalał pierwszą konstytucję w sali, na której murach błyszczała czysto pogańska dewiza: „Salus Reipublicae suprema lex esto!“ Czyżby od czasów Golgoty nic się na świecie nie zmieniło? Czy może nic o tem nie wie polska Beocja?

Konstytucja polska musi wzmocnić i pogłębić w Polsce wiarę katolicką. Konstytucja bowiem, to nie ów przysłowiowy paszport, który do niczego nie obowiązuje, ale to wyznanie wiary i patrjotyzmu; to nie jakiś muzealny sztandar, obnoszony z fałszywą dewocją teatralną w narodowych pochodach, ale program czynu społecznego, realne narzędzie urabiania nowego państwowego porządku — dekalog obywatelskiej cnoty i rozumu.

Ale konstytucja musi nietylko zachować narodowi wiarę katolicką, musi mu dać także i obyczaj chrześcijański. Szujski pisze o czasach saskich, że wiara była wówczas żywa, ale obyczaje złe, więc też ojczyzna chyliła się do upadku. Gorącej tedy prawowierności musi sekundować dobry chrześcijański obyczaj, który nastrój niedzielnego nabożeństwa przenosi w codzienne, szare życie, który z pojęcia cnoty urabia realnie wypełniany obowiązek. A na straży tego wszystkiego winien stać duch nowej konstytucji.

Tak pomyślana i rozumiana konstytucja musi w swym całokształcie zawierać szereg norm, zgodnych wyraźnie z ideą chrześcijańską. Problem obywatelskich uprawnień i obowiązków, pracy, małżeństwa i wychowania — wszystko to musi znaleźć w konstytucji jasne, zdecydowane określenie w myśl zasad katolickich. Samo też pojęcie władzy, jej atrybutów i jej stosunku do społeczeństwa, winno znaleźć odpowiedni wyraz.

Nie wahamy się twierdzić, iż przy podejmowanem obecnie dziele reformy chodzi nam o stanowcze s c h r y s t j a n i z o w a n i e k o n s t y t u c j i, o wyciągnięcie wszystkich głębszych konsekwencji z faktu, że olbrzymia większość społeczeństwa polskiego jest katolicką. Idzie o to, aby konstytucja w sposób możliwie najdoskonalszy wyrażała prawdziwą wolę katolickiego narodu urządzenia swego życia, we wszystkich jego przejawach i dziedzinach, w duchu katolickim, aby stała się należytą tej woli rękojmią, oraz nieprzebytą tamą dla wszelkich wrogich zakusów

na polskość i katolicyzm, nierozerwalnym, dziejowym związane węzłem.

Przedewszystkiem więc konstytucja winna wyrażać, że porządek państwowy opiera się nie na samych tylko urządzeniach ludzkich, lecz w pierwszym rzędzie na prawie Bożem; że więc państwo jest również jednym z czynników, które mają prowadzić człowieka do Boga. Stąd koniecznem jest wskazać, że źródłem władzy jest prawo nadprzyrodzone. Idąc dalej w kierunku powiązania woli Bożej z działalnością państwa, jesteśmy zdania za prof. W. L. Jaworskim, że należy wstawić do odnośnego artykułu postanowienie, iż Prezydent państwa nie może być w zakresie swej władzy nazbyt skrępowany prawem pozytywnem, ale kierować się winien przedewszystkiem prawem moralnem.

Konstytucja, jako ustawa normatywna, powinna wyłaniać ze siebie maximum tej atmosfery moralnej, bez której życie każdego społeczeństwa jest czcze i skazane — prędzej czy później — na bezpłodność. Normy, ustalone przez konstytucję, winny oddziaływać twórczo na duchowość narodu, pobudzać ją i ożywiać. Muszą to więc być normy, wyrosłe z ducha wolności i do wolności prowadzące, oczywiście przy sharmonizowaniu wolności z prawem. Człowiek bowiem jest wolnym, ma wolną wolę i ten, w katolickiem rozumieniu ujęty postulat, winien uwydatnić się w konstytucji, eliminując materjalistyczne koncepcje o „bête humaine", którego „silne" zwierzęce instynkty chcą na materjalistycznem podłożu oparte ustroje państw hamować silną, brutalną ręką władzy, dzierżącej bicz przymusu.

Ujęcie kwestji uprawnień i obowiązków konstytucyjnych obywatela z perspektywy boskiego początku ludzkiego ducha stworzy nową, wyższą dyscyplinę obywatelską, rozporządzającą także skutecznemi sankcjami moralnemi, gdy same tylko sankcje policyjnego porządku są budowaniem państwa na piasku, bo nie są w stanie oprzeć się sil-

niejszym wywrotowym czy rozkładowym fermentom. W związku z tem musi konstytucja zagwarantować należyte chrześcijańskie wychowanie młodzieży oraz zabezpieczyć istnienie nierozerwalnego małżeństwa i bytu rodziny, tej p r a k o m ó r k i k a ż d e g o d o b r z e z o r g a n i z o w a n e g o i z d r o w e g o s p o ł e c z e ń s t w a. Mówi się, że społeczeństwa, które nie mają odpowiednio rozgraniczonych władz, nie mają wogóle konstytucji. A my twierdzimy przedewszystkiem, z całą świadomością, że społeczeństwo nie ma konstytucji, gdy nie ma na mocnych zasadach ugruntowanego życia małżeńskiego. W braku tej podstawowej organizacji społecznej nie ma żadnych widoków trwałości dziejowej. Z niepokojem też śledzimy, jak w społeczeństwie chrześcijańskiem zewsząd biją gromy na sakramentalny charakter małżeństwa, jak nowoczesna literatura, teatr, kino, kabaret, nie mówiąc już o wszelakich prawnych zakusach „postępowych", sprzysięgły się, by świętość związku małżeńskiego osłabić, a nawet splugawić. W obronie tej świętości, w którą celowo godzi wywrotowa propaganda „wolnej myśli" i doktryny Marxa, winna stanąć nowa konstytucja polska w sposób całkiem stanowczy i bezkompromisowy.

A ten nasz postulat opiera się nietylko na gruncie moralno-religijnym, ale dyktowany jest również wielu innymi, nawet czysto świeckimi względami, np. polityką populacyjną. Dowiedzioną jest rzeczą, że rodzina katolicka, ogółem biorąc, daje społeczeństwu najliczniejsze potomstwo i n a j b a r d z i e j d y s c y p l i n o w a n y c h o b y w a t e l i. Wielka płodność naszego narodu pozostaje też niewątpliwie w związku z katolickim jego charakterem. Wiemy dobrze, jak ta płodność niepokoi naszych sąsiadów, zwłaszcza Niemców. Już Bismarck urągał nam od królików pod wpływem troski, że za pół wieku zmienią się zupełnie proporcje społeczno-polityczne między narodem polskim a niemieckim. Według najnowszych obliczeń uczonych niemieckich przyrost naturalny w Polsce zrówna się

około r. 1960 z absolutnym przyrostem naturalnym w Niemczech.

A to właśnie jest jedną z najważniejszych rękojmi zrealizowania naszego stanowiska mocarstwowego. Bo — powiedzmy sobie prawdę — na pretensje prawdziwie mocarstwowe jest nas dotąd stanowczo zamało! Jeżeli więc nie mają pozostać czczym frazesem, to musi ustrój nasz państwowy wzmocnić przedewszystkiem katolicką rodzinę przeciw wszelkim zakusom materjalistycznej czy modernistycznej polityki. Widzimy przecież, że przeżartej masoń每stwem i społecznym radykalizmem Francji grozi coraz większa depopulacja, a w pewnym stopniu zagraża już także i protestanckim Niemcom. Wprawdzie niektórzy zalecają tamowanie rozrodczości względami gospodarczymi, zwłaszcza bezrobociem. Ale zważyć trzeba, że kryzysy gospodarcze, nawet długotrwałe, są bądź co bądź zjawiskiem tylko przejściowem, a natomiast każdy noworodek — nowym konsumentem!

Niemniej ważnem zadaniem konstytucyjnem jest wprowadzenie do stosunków społeczno-gospodarczych pewnego moralnego imperatywu. Sprawy własności prywatnej, pracy i płacy winny być ujęte w świetle nauki chrześcijańskiej w sposób zupełnie zdecydowany i niedwuznaczny. Kwestja prawa własności, wraz z wypływającymi z niego obowiązkami, musi być postawiona twardo i przeciwstawić nasz ustrój stanowczo i raz na zawsze doktrynie Marxa. Tak samo autorytatywnie ujęte musi być zagadnienie z jednej strony sprawiedliwego wynagradzania za pracę, z drugiej obowiązków, jakie ciążą z natury rzeczy na pojęciu rzetelnej pracy. Nietylko więc ochrona pracy i ochrona kapitału powinna znaleźć wyraz w konstytucji, ale przedewszystkiem objektywna ochrona „kontraktu pracy", nakładająca na obie strony odpowiednie, sprawiedliwe prawa i obowiązki.

Takiem ujęciem sprawy przeciwstawimy się lepiej ideologji sowieckiej, czy innym podobnym doktrynom, niż

wszelkiem bezpośredniem ich zwalczaniem. Wiemy zresztą z doświadczenia Sowietów, że nazbyt jednostronna obrona pracy bez równoległej obrony obowiązku prowadzi w praktyce do nowoczesnego niewolnictwa.

Zagadnienie sprawiedliwego stosunku pracy umysłowej i fizycznej, w przeciwieństwie do jednostronnych pojęć socjalistycznych, oraz racjonalnego wynagrodzenia, jest też rzeczą pierwszorzędnej wagi i stać się może niezwykle doniosłym i wartościowym współczynnikiem przeobrażeń społeczno-ekonomicznych w naszem państwie. Przedewszystkiem odrzucić należy demagogiczny podział na pracę fizyczną i umysłową, gdyż fizycznie pracuje tylko bydlę lub maszyna, wszelka zaś praca ludzka jest kombinacją pracy mózgu i ręki. Jest nią bowiem niewątpliwie zarówno praca piórem, jak i młotem. Bez współdziałania umysłu żadna praca ludzka nie jest do pomyślenia, a wiele działów pracy t. zw. fizycznej (konstrukcja precyzyjnych przyrządów) wymaga w rzeczywistości daleko większej inteligencji, niż pewne działy t. zw. pracy umysłowej (kopjowanie aktów). Ten więc nierozdzielny solidaryzm pracy fizycznej i umysłowej winien być w konstytucji nowoczesnego państwa jasno wyrażony celem usunięcia z niej głównego momentu walki klas „pracujących“ z rzekomo niepracującemi.

Nawiasem mówiąc, nie możemy się również zgodzić na tak olbrzymie, niczem nieuzasadnione różnice wynagrodzeń za pracę, jakie często dziś zachodzą. Rozumiemy, że większa odpowiedzialność, szersza wiedza i ogólniejsza użyteczność pewnych jednostek w danem przedsiębiorstwie muszą być odpowiednio wyżej wynagradzane. Ale jeśli np. dyrektor przedsiębiorstwa pobiera 30.000 zł. lub więcej miesięcznie, a robotnik lub niższy urzędnik tylko 300 czy 400 zł., to tak olbrzymia różnica nie da się niczem usprawiedliwić. I przeciwko temu słusznie protestują stronnictwa radykalne.

Z drugiej strony jest także absurdem, jeżeli niekwali-

fikowani pracownicy, spełniający z niewielkim wysiłkiem, a z żadną odpowiedzialnością, najprostsze roboty, otrzymują ze względów czysto demagogicznych wyższe wynagrodzenie, niż inni, od których wymaga się wieloletnich studjów, praktycznej wprawy i fachowości.

Obecny kryzys gospodarczy, rozwijający się w światowej skali, wysuwa dziś na czoło zagadnień kwestję socjalną, która domaga się rozwiązania w duchu moralności chrześcijańskiej. Kryzys ten jest w głębszej swej istocie rezultatem kryzysu moralnego, który przeżywa cała nasza nowoczesna cywilizacja i kultura. Nowoczesna więc konstytucja polska, budowana pod hasłem naprawy stosunków, nie może pominąć tego pierwszorzędnego problemu milczeniem lub dwuznacznikami lub wreszcie odsyłaniem do „ustaw specjalnych". Jako podstawa ustroju życia narodu i państwa, musi ująć powyższe zagadnienia w pewne wyraźne normy, aby rozhukany, prawdziwie oszalały żywioł społeczny do spokoju i równowagi doprowadzić i zaprząc go do pożytecznej pracy, harmonizującej dobro jednostki z dobrem ogółu.

Konstytucja, która zaniedba tego, która nie wytknie narodowi pewnych moralnych drogowskazów, będzie tylko świstkiem papieru, który wrogie wiatry i burze dziejowe zdmuchną bez śladu przy pierwszej sposobności. W naszem pojęciu konstytucja nie może być li tylko pewnym zbiorem chwiejnych formuł prawnych, które każdy rząd i sejm rozmaicie może interpretować, ale przedewszystkiem podstawowym kanonem ustroju i nastroju państwa i społeczeństwa, a zarazem tym „słupem ognistym", wiodącym naród z różnych mroków i manowców kryzysu ustrojowego, czy gospodarczego, czy społecznego, do krainy obiecanej ładu, porządku i potęgi.

Józef Czarnecki.

ILUZJA SOLIDARYZMU EUROPY.

I. FIASKO PANEUROPY.

W ostatnim naszym artykule uznaliśmy sprawę utworzenia Paneuropy za pogrzebaną z chwilą przeforsowania przez Włochy i Niemcy zaproszenia Sowietów do udziału w konferencji wszecheuropejskiej, skoro przecież główną racją bytu Paneuropy musiałaby być wspólna obrona przed Bolszewją. Obecnie, wskutek zupełnego fiaska genewskiej konferencji w sprawie realizacji t. zw. „rozejmu celnego", czyli międzynarodowego układu handlowego, obejmującego państwa Europy, zawiodło całkowicie hasło solidarności gospodarczej Europy, na której przecież cała polityczna koncepcja Brianda była zbudowana, chociaż wysuwał on formalnie program podchodzenia do zagadnień ekonomicznych od strony wymagań politycznych. Skoro jednak wojna, jaką Sowiety prowadzą ze światem cywilizowanym, ma na razie głównie charakter gospodarczy oraz propagandowo-społeczny, więc program obrony winien dawać sam przez się pierwszeństwo dziedzinie gospodarczej.

Omawiając niepowodzenie konferencji genewskiej, znakomity publicysta W. Martin przypisuje w „Journal de Genève" winę Francji. „W rzeczywistości Francja jest przyczyną tego niepowodzenia, które w chwili obecnej stanowi przeszkodę dla wszelkiej skoordynowanej polityki gospodarczej w Europie. Trzeba, aby o tem wiedziano. Zbyt łatwem jest udawać szampiona unji europejskiej, zbierać poklask pokojowo usposobionych ludów, stworzyć sobie aureolę przez politykę wyłącznie słowną, a jednocześnie pozostawić w zakamarkach parlamentarnych konwencję

arbitrażową, podpisaną z sąsiadami i sprzeciwiać się w dziedzinie najważniejszej, najbardziej decydującej dla życia narodu — w dziedzinie gospodarczej — wszelkim rozwiązaniom, które mogą przynieść zbawienie społeczeństwu i Europie".

Jest to nietyle krytyka Francji, ile Brianda, który, zapraszając właśnie całą Europę do jednoczenia się, zapomniał o drobnostce: o uzgodnieniu tego pięknego ideału z polityką gospodarczą własnego rządu, która, jak się okazuje, weszła właśnie na drogę najostrzejszego prohibicjonizmu w interesie zaoszczędzenia państwu najgorszych następstw kryzysu ekonomicznego, szalejącego z największą siłą u sąsiadów wschodnich Francji. Wskutek tego Niemcy, zainteresowani na równi w obaleniu barjer celnych francusko-niemieckich, jak w utrzymaniu polsko-niemieckich, wobec pewności podbijania cen francuskich, mogli sobie pozwolić na efektowny gest, czyniący z nich w oczach zdziwionego świata większych Paneuropejczyków od samego Brianda. Większego dowodu nierealności swoich koncepcji Briand chyba nie mógł dostarczyć ani wrogom Paneuropy, ani jej życzliwym krytykom.

To też p. Martin zapytuje zdziwiony, jakież jeszcze nieszczęścia i katastrofy spaść mają na ludy Europy, aby one wreszcie zrozumiały istotę rzeczy i przekonały się, że trwanie ich w splendid isolation, wewnątrz chińskich murów celnych, zbudowanych przez zaślepione nacjonalizmy i narzuconych wreszcie najbardziej opornym z konieczności obrony własnej — musi doprowadzić do kolejnego zburzenia tych bastylji przez czerwoną komunę, któraby w innych warunkach nie mogła się ostać wobec połączonych sił państwowych i gospodarczych krajów cywilizowanych.

II. WZRASTAJĄCE ROZMIARY NIEBEZPIECZEŃSTWA.

Że jednak zrozumienie tej prostej prawdy czyni postępy, tego najlepszym dowodem jest artykuł poważnego

holenderskiego „Algemeen Handelsblad“ o niewątpliwem gorączkowem przygotowywaniu się Sowietów do ofenzywy przeciw Zachodowi. „Faktycznie — pisze dziennik — ofenzywa już się zaczęła. Cel jest podwójny: finansowo — chodzi o znalezienie pieniędzy zagranicznych dla wykonania planu pięcioletniego, strategicznie — o przyczynienie się do wykolejenia systemu ekonomicznego zachodnich państw europejskich, znajdującego się w obliczu niezwykle silnego kryzysu. Kto uważa, że ponowne pojawienie się Rosji na rynku światowym oznacza nawiązanie normalnych stosunków ekonomicznych, ten nie docenia rewolucyjnych motywów rosyjskiej gospodarki. Twórcy planu pięcioletniego przyjęli pięć lat, gdyż wychodzili z założenia, że w tym okresie czasu definitywnie zostanie zadecydowane, czy Sowiety są w stanie podważyć system ekonomiczny, a zatem i polityczny Europy, i doprowadzić do zwycięstwa komunizmu... Polityka Sowietów obecnie oczywiście dąży do wykorzystania kryzysu ekonomicznego, ażeby, o ile tenże nie nosi cech kryzysu trwałego, doprowadzić do przeciągania się go, czyli do zwiększenia szans komunizmu“.

Następnie dziennik analizuje różne dekrety sowieckie, dowodzące, że „przez przymus pracy Sowiety starają się przyspieszyć jaknajbardziej proces uprzemysłowienia Rosji za wszelką cenę...“. „To co się obecnie widzi w Sowietach — pisze w dalszym ciągu dziennik — nie jest z pewnością komunizmem, lecz najsurowszym kapitalizmem państwowym. Ludność robotnicza Rosji jest zmuszona przy płacach znacznie niższych, niż na Zachodzie, do krańcowego wysiłku. Zrozumienie tego stanu rzeczy przenika od ostatniego roku do Europy, a wyrazem tego jest obawa, że za parę lat Sowiety zaleją Europę tanimi towarami. W świetle historji Niemiec i Japonji obawa ta jest zupełnie

usprawiedliwiona. Obecne potyczki rzeczywiście są przygotowaniem do definitywnej ofensywy ekonomicznej. W Anglji krótko ujmuje się tę kwestję: komunizm przeciw komercjalizmowi — i wskazuje się, że cywilizowany świat musi zadecydować, czy ma utrzymać własne urządzenia handlowe, czy też paść w objęcia komunizmu. Komunizm bowiem rosyjski, o ile pozostawi się mu wolny bieg, oznacza zamach na stopę życiową Zachodu, a nawet w zasadzie dąży do ekonomicznej hegemonji. Najważniejszą kwestją jest, jakimi środkami obrony Europa rozporządza. W otwartej walce musiałaby zapewne, przy swem znacznie droższem, choć stojącem na wyższym poziomie gospodarstwie, ponieść porażkę. Zrozumiałem jest więc, że obecnie w Europie zachodniej coraz silniej odzywają się głosy za bojkotem handlowym, a nawet za blokadą ekonomiczną Sowietów. Należy jednak powątpiewać, czy takie zarządzenia mają widoki zrealizowania przy panującej w Europie niezgodzie, nie mówiąc już o szansach powodzenia wobec tak olbrzymiego państwa, jakiem jest Rosja. Powstaje poważna obawa, że oba systemy naprawdę będą musiały zmierzyć się ze sobą w otwartej walce. Istnieć bowiem trwale obok siebie, jako antypody, nie mogą".

Mocarstwa zachodnie, poza niszczycielskim dumpingiem, podbijającym wszystkie ceny na rynkach światowych i zmuszającym je do kontrakcji w interesie już nie ochrony, lecz wprost ocalenia podstaw produkcji warsztatów pracy własnych obywateli, najbardziej są przerażone postępami propagandy komunistycznej w Azji i Afryce, zagrażającej ich panowaniu kolonjalnemu i najżywotniejszym ich interesom gospodarczym. Ostatnie wiadomości z Chin brzmią niepokojąco. Walka legalnego rządu w Nankinie, podtrzymywanego w miarę możności przez mocarstwa, z t. zw. „Chinami Sowieckiemi", czyli prowincjami środkowo-zachodniemi, opanowanemi przez bandy komunistyczne, przybrała obrót niepomyślny.

Wierne rządowi wojska, ćwiczone przez instruktorów niemieckich, nie dają sobie rady z buntownikami. Aresztowania i krwawe egzekucje nie odstraszają. Wykrywane są coraz nowe spiski. W Chinach północnych utworzyła się nowa partja komunizująca, dążąca do połączenia tej połaci olbrzymiego państwa z „Chinami sowieckiemi". W dodatku, w łonie rządu nankińskiego i popierającego go „Kuomintangu" (kongresu nacjonalistycznego) powstały tarcia, bardzo osłabiające jego rozmach i autorytet. Najbardziej zdecydowany zwolennik frontu przeciwsowieckiego Chin, Huhanmin, ustąpił z rządu, podobno wskutek nieporozumienia z dyktatorem Czang-Kai-Szekiem na tle amerykańskiej oferty pożyczkowej, którą generał-premier uznał za zbyt uciążliwą dla Chin, pomimo katastrofalnego kryzysu, wywołanego spadkiem srebra (Chiny mają walutę srebrną) i zniszczeniem kraju przez wojnę domową.

Niestety, właśnie owa nędza, w jakiej się znalazły dziesiątki miljonów mieszkańców zniszczonych i zrabowanych doszczętnie dzielnic, jest główną przyczyną powodzenia propagandy komunistycznej. Długoletni znawca stosunków chińskich wyraża na łamach „Figaro" pogląd, że o ile mocarstwa zawczasu nie przedsięwezmą wspólnych kroków dla zażegnania tego niebezpieczeństwa, Chiny, pomimo całego wysiłku rządu nankińskiego, mogą być zalane czerwoną falą. Moskwa zaś znakomicie umie agitować wśród narodów Azji, a szczególnie wśród 250 miljonów robotników i drobnych rolników Chin, używając na równi demagogji nacjonalistycznej i socjalnej! Nawet doktryny nacjonalistów chińskich przesiąknięte są komunizmem!

Ugoda Anglji z wodzem Hindusów zażegnała, jak się zdaje, na razie niebezpieczeństwo skomunizowania Indji. Całą grozę tego niebezpieczeństwa ilustruje jednak fakt, że walka skrajnych nacjonalistów hinduskich przeciw Gandhiemu, jaka wybuchła w wyniku ugody, prowadzona jest już całkiem otwarcie pod znakiem czerwonego sztandaru i haseł rewolucji społecznej, żywcem zaczerpniętych z fra-

zeologji kominternu. Tak samo przecież ataki Afrydów na graniczny gród Peszawar zdradzały najwyraźniejsze ślady sowieckiego pochodzenia. Zmusiło to wszystko Anglję (wbrew doktrynie labourzystów) do bardzo energicznej kontrakcji. Dzięki układowi z nowym królem Afganistanu, Nadirem, usunięto z tego kraju wszystkich wysłanników i sympatyków Moskwy, przyczem pożyczka i instruktorowie angielscy dodają rządowi należytego autorytetu. Również i ostatni bunt w Birmie był z całą precyzją przygotowany i prowadzony przez agentów kominternu.

Rewolucyjna działalność Sowietów w Siamie, Annamie i w Indjach Holenderskich oddawna już niepokoi Francję. Królestwo Siamu oraz protektoraty i kolonje europejskie, z nim sąsiadujące, są terenem akcji całej armji abiturjentów instytutu wschodniego w Moskwie. Na czele akcji stoi Borodin. Na Jawie i Sumatrze wybuchły powstania przeciwko Holandji, przyczem pojawiły się z miejsca na czele buntowników autentyczne sztandary sowieckie. 250.000 Chińczyków w Indochinach prowadzi tam akcję irredentystyczną przeciw Francji. Bolszewicy nie kryją się ze swoim celem doprowadzenia do powstania 800 miljonów Azjatów przeciwko Europie. Nawet w konserwatywnej Japonji przerażono się postępami akcji wywrotowej. Charakterystycznym szczegółem tej akcji kominternu jest fakt, że misje katolickie (i chrześcijańskie wogóle) przedstawiane są w oczach społeczeństwa jako szpiedzy Watykanu, przeszkadzający urzeczywistnieniu na ziemi „raju" sowieckiego (panowania Antychrysta!). Zamęczanie misjonarzy należy też do ulubionych zajęć azjatyckich komunistów.

Doktryny komunistyczne panoszą się jednak i w państwach, zdawałoby się, przez swój ustrój wprost przeciwnych propagandzie Moskwy. Dyktator Turcji zaprowadził w swojem państwie najbezwzględniejszy etatyzm, Szach Persji w swojem monopol handlu zagranicznego. Oba państwa utrzymują też najprzyjaźniejsze stosunki z Sowietami

i chętnie występują solidarnie z nimi na arenie międzynarodowej. Sowiety są arbitrem w ich sporze o granice w Kurdystanie. Wpływy kominternu dają się też odczuwać coraz silniej w terytorjach mandatowych Przedniej Azji, skąd przerzucają się do Egiptu, podsycając tam ruch elementów skrajnych przeciwko wszelkim wpływom politycznym i gospodarczym W. Brytanji. Wiadomo zaś, że i w Afryce Sowiety przygotowują rewolucję tubylców przeciwko Francji i innym mocarstwom, organizując u siebie, między innymi, także kongresy murzyńskie.

III. PRÓBY POROZUMIENIA MOCARSTW.

W przedmowie do książki hr. Kokowcewa o bolszewiźmie Poincaré pisze: „Jest rzeczą pożałowania godną, że narody europejskie są w dalszym ciągu zwaśnione, że energja ich jest rozprószona i że nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakiem grozi aktywność Sowietów w Europie. Czy państwa takie, które liczą w swoich rachubach politycznych na Związek Sowiecki, nie rozumieją, że mogą stracić umiłowaną przez siebie niepodległość w przyszłej katastrofie, jaką będzie konflikt między zachodem Europy a Sowietami? Nadszedł już ostatni czas, aby narody europejskie zjednoczyły się, tworząc wspólny front dla obrony cywilizacji zachodniej przed barbarzyństwem sowieckiem".

Z analogicznem wezwaniem wystąpił niedawno węgierski minister obrony krajowej, Gömbös.

W obliczu tej oczywistej grozy odbywa się w Anglji proces daleko idącego przegrupowania wewnętrznego, wytwarzającego pewien wspólny front — wbrew doktrynom panującego tam obozu socjalistycznego. Skrajni nacjonaliści oddzielili się od konserwatystów, wysuwając hasło zam-

knięcia się w sobie Imperjum Brytyjskiego i pozostawienia Europy samej sobie. Konserwatyści natomiast, pod wodzą Baldwina, rozumiejąc całą grozę akcji kominternu w Azji, uznali osiągnięcie kompromisu z niepodległościowcami indyjskimi (z Gandhim), krzyżującego intrygi kominternu i chroniącego Indje od rewolucji, za największy tryumf (i słusznie) rządu labourzystów. Przyczynili się oni do niego pozytywnym udziałem w konferencji „okrągłego stołu“.

Pozatem, pod naporem konieczności gospodarczych, rząd angielski widzi się zmuszonym do gruntownej rewizji swojej polityki zagranicznej. Pod wrażeniem dumpingu sowieckiego, rujnującego zupełnie rolnictwo angielskie i dającego bolszewikom w ciągu ostatniego roku miljard franków zysku z samej Anglji, większość liberałów i wielu labourzystów ogarnia coraz większe przerażenie, nakazujące im zmianę zbyt lekkomyślnej orjentacji „wyborczej“ w stosunku do Sowietów.

Dojrzewa więc myśl zacieśnienia z powrotem węzłów z Europą w interesie wspólnej obrony. Przypomnieć należy, że rząd socjalistyczny Mac Donalda zerwał z polityką rządu konserwatywnego w stosunku do Francji. Mac Donald przekreślił wszystkie zabiegi Baldwina o dojście do porozumienia z Francją w sprawie ograniczenia zbrojeń morskich. Koncepcja rządu Mac Donalda polegała na tem, aby wycofać się ze spraw europejskich i szukać zbliżenia ze Stanami Zjednoczonymi, co jednak nie dało spodziewanych rezultatów, pomimo bolesnej dla dumy angielskiej rezygnacji W. Brytanji z panowania na morzu na rzecz „parytetu“ (równości) z daleko przecież mniej rozległymi terytorjalnie Stanami Zjednoczonymi.

Najlepiej i najwcześniej poznała się na niebezpieczeństwie sowieckiem Francja. Ono też przedewszystkiem podyktowało jej koncepcję unji europejskiej (obok obawy przed gospodarczą supremacją Stanów Zjednoczonych). „Le Temps“, omawiając wojownicze exposé Mołotowa,

stwierdza, że propaganda komunistyczna, dążąca do wywołania wojny ze „zgniłym zachodem“ i wszechświatowej rewolucji, wpaja w masy systematycznie wiarę w rzekome zagrożenie Sowietów najazdem zewnętrznym. „. . .Locarno, układ paryski, przygotowanie konferencji rozbrojeniowej, wszystko ma jedynie na celu przygotowanie wojny. Tylko Sowiety chcą pokoju — organizując olbrzymią armję rewolucyjną, zatruwając atmosferę międzynarodową przez propagandę bolszewicką, doprowadzając do ruiny przez „dumping“ rosyjski życie gospodarcze wszystkich narodów. A co najgorsze, to, że istnieją jeszcze rządy i narody, dające się nabierać tej polityce i udające, że nie widzą tego światowego niebezpieczeństwa“!

Premier zaś belgijski, p. Jaspar, nie dał się wyprzedzić Francji w słusznej djagnozie „niebezpieczeństwa“ i napiętnował w wielkiej mowie w Liège samo istnienie państwa Sowietów „za najczarniejsze miejsce na widnokręgu Europy“, wymagające zgodnego wysiłku współzagrożonych w samych podstawach swojego istnienia politycznego i gospodarczego państw cywilizowanych.

Na szczęście doszło w obliczu coraz groźniejszego „światowego niebezpieczeństwa“ do ugody — za pośrednictwem Anglji — pomiędzy Francją a Włochami. Odwiedziny ministrów angielskich Hendersona i Aleksandra w Paryżu i Rzymie, niespodziewane zupełnie dla szerszego ogółu, podziałały jak prawdziwy deus ex machina, rozwiązując tragiczny, zdawało się, węzeł rozgrywającego się dramatu dziejowego i powodując prawdziwy przewrót w układzie politycznym Europy. W rzeczywistości odwiedziny te nastąpiły po żmudnych, poufnych rokowaniach, których pomyślne zakończenie dowodzi raz jeszcze, jak koniecznq w interesie pokoju jest tajna dyplomacja. Wszak właśnie jawność polityki zagranicznej, tak zalecana nam przez doktrynerów demokratycznych, powoduje uzależnianie jej od wymagań poli-

tyki wewnętrznej, a więc w warunkach parlamentarnych od demagogji i wzajemnej hasełkowej licytacji partyjnej.

Porozumienie to stało się tem większem powodzeniem polityki pokojowej, że wzrastające z dnia na dzień napięcie francusko-włoskie pozornie wykluczało wszelkie zbliżenie, chyba — kosztem odstąpienia Francji od sojuszu z Jugosławją. Jeszcze niedawno temu sam Mussolini zabrał głos w „Neue Freie Presse", żądając przyspieszenia powszechnego rozbrojenia i czyniąc przejrzyste aluzje do narodu, którego „nadmiar dóbr i pomyślności skłania do hegemonji nad innymi", oraz do „niesprawiedliwości", istniejącej pomiędzy narodami, a „pchającej je do kroków rozpaczliwych". Nazywa on tam francuskie żądania gwarancyjne „odwracaniem kwestji, albowiem z chwilą równoczesnego rozbrojenia będzie rozwiązana także ta sprawa"!? Narzeka słusznie na klęskę wysokich budżetów wojskowych w okresie depresji gospodarczej, oraz na „sztuczki z przesunięciami pozycji budżetowych", co chyba jest pite do Niemiec.

A przecież, póki całemu światu zagraża niebezpieczeństwo bolszewickie, zwiększone niemiecką polityką rewizyjną, trudno mówić o rozbrojeniu bez zawarcia przez rozbrajające się państwa sojuszu, gwarantującego im tą drogą bezpieczeństwo, mające potencjonalnie zastąpić zmniejszone siły zbrojne poszczególnych kontrahentów. Daleko jednak Włochom do solidarności z państwami Europy w ramach obowiązujących traktatów i koncepcji p. Brianda. Pomimo owacji na cześć Francji i zapowiedzi dalszych wzajemnych układów, w parlamencie włoskim nie brakowało niepokojących zgrzytów. Już sprawozdawca budżetu M. S. Z., Polverelli, oświadczył z całą stanowczością, że Włochy coprawda dążą wszelkiemi siłami do utrzymania pokoju w porozumieniu z pozostałemi mocarstwami i cieszą się z poprawy stosunków z sojuszniczą w czasie największej wojny Francją, że niemniej jednak polityka zagraniczna Włoch pozostaje niezmienną. Pokój

bowiem, do którego dążą Włochy, musi być „pokojem sprawiedliwym“, nie uznającym już różnicy pomiędzy zwycięzcami a zwyciężonymi i przywracającym równouprawnienie w dziedzinie zbrojeń. „Albo powszechne rozbrojenie, albo powszechne uzbrojenie“! Zdaniem jego, traktaty muszą być oczywiście przestrzegane, póki obowiązują, „nie mogą one jednak pozostać na wieki płytami grobowemi na trumnach narodów“! Inne przemówienia bardziej jeszcze uwypuklały analogję tych tendencji z dążeniami oficjalnych pacyfistów niemieckich, oraz wysuwały niesłychanie daleko idące żądania kolonjalne, względnie dotyczące praw Włochów we Francji i Tunezji.

Podkreślając djametralną sprzeczność między faszyzmem a bolszewizmem, minister Grandi w swojem przemówieniu uzasadnił wciąganie Sowietów do Paneuropy rzekomą niemożliwością pozostawienia Rosji, takiej czy innej, poza nawiasem „Europy“ (?). Natomiast wypowiedział się jaknajkategoryczniej przeciwko utrzymaniu w łonie Europy specjalnych sojuszów i konwencji pomiędzy pewnemi grupami „zblokowanych“ państw, uważając taki „system“ za najważniejszą przyczynę zakłócania pokoju między narodami (!?). Wreszcie p. Grandi stanął zdecydowanie na gruncie polityki locarneńskiej, paneuropejskiej i Ligi Narodów, przywiązując szczególną wagę do pogodzenia się Niemiec i Francji, dla których Locarno jest „zastawem pokoju“. Dążąc do „pokoju politycznego, społecznego, gospodarczego, religijnego i międzynarodowego“, Włochy muszą jednak obstawać przy żądaniu „sprawiedliwości“ i „równouprawnienia“. Konkretnie jednak p. Grandi tematu rewizji traktatów dotknął tylko pośrednio, wskazując na konieczność zmiany polityki mandatowej Ligi w kierunku utrzymania suwerenności Ligi nad krajami mandatowymi i umożliwiania od czasu do czasu zmiany mandatarjuszy, przyczem w danych krajach należałoby protegować tendencje niepodległościowe!!?

Jak widać, Włochy nadal znajdują się pod znakiem

współzawodnictwa z Francją o pierwszeństwo w Europie, współzawodnictwa, niekorzystnego dla objektywnej oceny rzeczywistości. Współzawodnictwo to zamyka Włochom oczy na niebezpieczeństwo hitleryzmu i każe im szukać wyjścia z kryzysu ekonomicznego, spotęgowanego w tak znacznym stopniu wojną gospodarczą Sowietów przeciwko Europie, we współpracy (acz „gospodarczej" tylko) z największym Europy wrogiem, dążącym do zniszczenia tego wszystkiego, co stanowi ideały Mussoliniego oraz cechy tej kultury, której kolebką są Włochy. Współzawodnictwo to każe im słusznym zapewne dążeniom prowęgierskim i kolonjalnym nadawać pozory „rewizyjne", sprzyjające podważającym pokój machinacjom niemieckim. Stwarza to niebezpieczeństwa stokroć realniejsze od czysto obronnych sojuszów, podyktowanych groźbami najazdu!

A przecież tak łatwo byłoby obecnie o pełne porozumienie włosko-francuskie, biorąc pod uwagę gotowość Francji do uwzględnienia korzystnej dla Włoch „rewizji granic" w Afryce. Niedawne zdobycie przez Włochów oazy Kufra i spowodowana temsamem konieczność rozgraniczenia w pustyni posiadłości anglo-egipskich od włoskich, a włoskich od francuskich, jest dla takiego nowego porozumienia znakomitą okazją, tembardziej, że prestige Włoch, jako potęgi kolonjalnej, tą zdobyczą, dokonaną w niesłychanie trudnych warunkach technicznych, ogromnie został wzmocniony. Włochy pomimo wszystko jednak, potrzebując pożyczki, bardziej są zainteresowane w ugodzie z Paryżem, aniżeli w wątpliwej wartości pozorach współdziałania z zakusami kontrahentów Rapalla. W tych warunkach rozumiemy doskonale przygnębienie prasy niemieckiej. Awanturnicza i prowokacyjna polityka Berlina, którą ks. Radziwiłł tak słusznie nazwał „polityką szantażu", polityka pełna pychy, zarozumiałości i pewności siebie, wydała zgoła nieoczekiwane owoce. Dumping sowiecki otworzył oczy wielu politykom europejskim na rozmiary niebezpieczeństwa, grożącego Europie i pokojowi od wschodu, nie-

bezpieczeństwa, wygrywanego przez dyplomację i sfery militarne Niemiec dla wymuszenia na Europie i Lidze Narodów ustępstw. Przeliczono się jednak w Berlinie z naiwnością mocarstw, przeliczono się, licząc na wbicie klina pomiędzy Francję a jej sojuszników przy pomocy faszystowskich Włoch. Nie może być już mowy obecnie o powstaniu „bloku rewizji traktatów" przeciwko Francji, Polsce i innym obrońcom podstaw pokoju.

IV. KU UTRWALENIU NIEMIECKO-ROSYJSKIEJ WSPÓŁPRACY.

Porozumienie anglo-francusko-włoskie jest więc niewątpliwie, pomimo wszelkich zastrzeżeń i obaw, bardzo ważnem wydarzeniem na drodze do solidarności Europy w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa. Solidarność ta jednak będzie tak długo fikcją, dopóki będą ją rozbijały Niemcy przez swoją politykę podważania traktatów pokojowych i współdziałania z Rosją przeciwko Europie. Obecnie zanosi się na odnowienie traktatu niemiecko-sowieckiego z 24 kwietnia 1926 r., zawartego — tak samo, jak poprzedzający go traktat w Rapallo — na pięć lat. A przecież pamiętać należy, że Rosja związana jest z Niemcami pozatem całym szeregiem traktatów. Nieodnowienie traktatu, pomimo gorących w tym kierunku zaleceń pacyfistów francuskich i paneuropejczyków z hr. Coudenhove-Calergi na czele, domagających się „świadectwa polityki pokojowej" Niemiec, nie wchodzi, jak się zdaje, w rachubę. Odnowienie go zaś burzy fundamenty Paneuropy. Nie od rzeczy będzie przytoczyć przy tej sposobności zdanie, wyrażone przed kilku dniami przez „Taegliche Rundschau", organ zbliżony do ministerjum spraw zagranicznych: „Prześladowanie kościoła katolickiego w Rosji — czytamy w tem piśmie — szykany, stosowane wobec obywateli niemieckich, propaganda komunistyczna, finansowana przez So-

wiety, wszystko to nie powinno wpłynąć w najmniejszej mierze na ocenę traktatu berlińskiego, na który zapatrywać się będziemy pod kątem całokształtu polityki zagranicznej Niemiec. Byłoby szaleństwem przyczyniać się, przez nieodnowienie tego traktatu, do polepszenia stosunków polsko-rosyjskich“!! „Deutsche Tageszeitung“ nawołuje do wyrugowania polskich wpływów z nad Bałtyku drogą wspólnego zagwarantowania niepodległości państw bałtyckich przez Niemcy i Rosję, oraz do wdzięcznego pośrednictwa Niemiec pomiędzy Rosją a Anglją!!

Punktem zaś kulminacyjnym współpracy „gospodarczej“ niemiecko-rosyjskiej stała się podróż przemysłowców niemieckich do Rosji, w rezultacie której grozi światu podobno czynny udział przemysłu niemieckiego w realizacji „piatiletki“, a co zatem idzie, w przygotowaniu „gospodarczego“ najazdu Sowietów na świat cały. Skarb Rzeszy ma zaś gwarantować w 70% zamówienia sowieckie w Niemczech, mające dochodzić do wartości miljarda marek, przy 20%-ej tylko spłacie gotówkowej!

Jesteśmy więc świadkami paradoksalnego zjawiska, którego za stałe uważać nie możemy. Sowiety, chcące być awangardą Azji w najeździe na „zgniły zachód“, znajdujące się de facto w stanie wojny gospodarczej i propagandowej z całym cywilizowanym światem, którego podstawy istnienia podważają dumpingiem z jednej i próbami rewolucji społecznej z drugiej strony, tworzą wspólny front z mocarstwem, poczuwającem się do misji przodowania Europie w roli spadkobiercy imperjum rzymsko-niemieckiego!

Korespondent berliński „Neues Wiener Journal“ posuwa się aż do pomawiania Niemiec o gotowość zawarcia gospodarczego przymierza z Sowietami, za którem z konieczności pójdzie także przymierze polityczne zaczepno-odporne.

Należy stwierdzić, że to „przymierze“ wywołuje entuzjazm nietylko w odwetowo nastrojonych sferach nacjonali-

stycznych. Również i wśród socjalistów bynajmniej nie brak gorących zwolenników „współpracy w realizacji piatiletki“, której powodzenie, zdaniem jednego z mówców socjalistycznych w Reichstagu, nietylko jest pożądane w interesie uchronienia Rosji od chaosu i nędzy (?!), lecz również w interesie pokoju (?), którego przecież bolszewicy nie zechcą naruszać, by nie narażać „swoich przyjaciół przemysłowców“ na ryzyko rewolucji wszechświatowej (!?). Nadzieja zatrudnienia w ten sposób setek tysięcy bezrobotnych i złagodzenia kryzysu góruje nad wszelkiemi obawami.

Ani rząd, ani Bank Rzeszy nie rzekły jeszcze w tej sprawie swojego decydującego słowa. Związek przemysłowy Rzeszy stanął na stanowisku, że nie może być mowy o kredycie zbiorowym, a jedynie o gwarancji rządu dla kredytów bankowych w poszczególnych wypadkach, po zbadaniu każdej oferty osobno, a więc w roku bieżącym o nie więcej, niż 75 milj. mk. Rząd jest w bardzo trudnem położeniu, znajdując się, jak stwierdza „Le Temps“, „w kleszczach z jednej strony sfer reakcyjnych, marzących o wojnie odwetowej z Polską, z drugiej wielkiego przemysłu, widzącego w zamówieniach środek przeciw bezrobociu“. Zdaje sobie sprawę z możliwości utracenia przez Niemcy spodziewanych kredytów na Zachodzie i w Ameryce, teraz właśnie, kiedy ich najbardziej potrzebują. „Le Temps“ wyraźnie już przestrzega przed finansowaniem Rosji, rewolucji światowej i dumpingu za pośrednictwem Niemiec. W dodatku polityka reasekurowania się „Rapallem“ przeciwko „Locarnu“ i Lidze Narodów znalazła ponowne potwierdzenie w przemówieniu prezesa ludowców, d-ra Dingeldeya, a więc najbliższego przyjaciela politycznego ministra spraw zagranicznych, który oświadczył bez ogródek, że mowy być nie może o udziale Niemiec we froncie wspólnym Europy przeciw komunizmowi „dopóki Francja nie wyrzeknie się swoich dążeń do hegemonji w Europie“ (sojusz z Polską!), oraz że tak długo właśnie „Niemcy nie

mogą wypuszczać z rąk atutu sowieckiego". Prasa zaś nacjonalistyczna (naprz. „Der Tag"), obiecując złote góry Rumunji w razie współpracy z Niemcami, przestrzega ją równocześnie przed „bezsensownością" traktatu polsko-rumuńskiego, skoro przecież Rumunja nie ma interesu bronić w razie wojny Polski przed Niemcami, mając na karku Rosję!!

V. REAKCJA PRZECIWSOWIECKA W NIEMCZECH.

Na szczęście, niebezpieczeństwo współpracy niemiecko-rosyjskiej rozumieją nietylko mocarstwa zachodnie i rząd polski, lecz również bardzo poważne i wpływowe koła w samych Niemczech. Jest więc nadzieja jeszcze, jak stwierdza „Le Temps", że zwycięży koniec końcem w Berlinie zdrowy rozsądek nad polityką „va banque", której poszczególni zwolennicy, niestety, gnieżdżą się nawet w centrum katolickiem. Zażegnaniu tego niebezpieczeństwa służy polityka locarneńska i paneuropejska, służą zwłaszcza z takiem uznaniem witane na Zachodzie dążenia Polski do odprężenia jej stosunków z Niemcami, usiłowania, kontynuowane konsekwentnie, pomimo ustawicznej naganki przeciwpolskiej w Niemczech i ciągłych dowodów współpracy niemiecko-rosyjskiej. Jest to, jak stwierdza wybitny publicysta francuski, „jedyna droga, prowadząca do pacyfikacji Europy", do jej współpracy i solidarności, w której realizację, jako konieczności dziejowej, nie tracimy wiary. Czas, zmniejszając stale odległość pomiędzy przedrozbiorową a współczesną Polską, pracuje na rzecz oswojenia świata nietyle może z istnieniem „korytarza", ile z faktem, że Prusy Wschodnie są kolonją, a nie „żywem ciałem" Niemiec, które jeszcze w r. 1848 tej kolonji wcale do swojej „ojczyzny" nie zaliczały. „Drang nach Osten", specyficznie pruski, powinien z czasem ustąpić przeświadczeniu, że warunki demograficzne Niemiec współczesnych, ustawiczne kurczenie

się ich siły rozrodczej, skazują Niemcy w przyszłości na zupełną zmianę ich polityki ludnościowej, w kierunku ekspansji wewnętrznej, a nie zewnętrznej.

Na czele reakcji przeciwko współdziałaniu z Sowietami stoi obóz katolicki, coraz bardziej stanowczo występujący przeciwko szowinizmowi hakaty pruskiej, zatruwającemu duszę niemiecką. Katolicka „Germania“, organ centrum i kanclerza Brüninga, przestrzega przed oddawaniem się złudzeniom co do korzyści, mogących jeszcze wypływać dla Niemiec ze stosunków handlowych z Sowietami, po tylu już rozczarowaniach i dowodach fantastyczności obliczeń sowieckich. Natomiast pismo to stwierdza bez ogródek, że wszelka pomoc zagranicy, udzielona Sowdepji, wzmaga niebezpieczeństwo, grożące całemu światu w razie powodzenia piatiletki, niemożliwego bez pomocy zagranicznej, a wymierzonego z całą świadomością przeciwko samym podstawom gospodarczej struktury świata, oczywiście wraz z Niemcami. Zdaniem organu katolickiego, polityka przemysłowców niemieckich prowadzi nieuchronnie do wzrostu niszczycielskiego dumpingu, do powiększenia z konieczności środków obronnych ze strony zagrożonych państw — „w rezultacie zaś do wojny, którą bolszewicy rozpoczną, by przerwać pierścień blokady gospodarczej“. „Właśnie dlatego, że nie chcemy wojny nawet i z państwem sowieckiem — pisze „Germania“ — nie powinniśmy okazywać żadnej pomocy stalinowskim przedsięwzięciom“, tembardziej, że u bolszewików polityka, gospodarka i propaganda ściśle są ze sobą zespolone. Temu samemu poglądowi dał wyraz w Reichstagu jeden z księży katolickich, prałat Schreiber: „Komunizm rosyjski zagraża nietylko państwu niemieckiemu, ale i niemieckiej kulturze... Opowiemy się za przedłużeniem traktatu w Rapallo tylko w tym wypadku, jeżeli nasze stosunki z Rosją sowiecką nie będą nadal związane z niebezpieczeństwem bolszewizacji kultury. Sza-

nujący się naród protestuje przeciwko interwencji zbrojnej, ale przecież rzeczą jest obojętną, czy naszą granicę przekraczają armje cudzoziemskie, czy też cudzoziemska propaganda przeciwko naszemu narodowi".

Tak samo znany przemysłowiec i zwolennik zbliżenia niemiecko-francuskiego, Arnold Rechberg, ogłosił w „Neues Wiener Journal" oświadczenie, w którem uważa udzielenie kredytu długoterminowego Sowietom za identyczne z podarowaniem im miljardowej wartości wyrobów kosztem skarbu i podatników Rzeszy! Stwierdza on, że byłoby to równoznaczne z udziałem faktycznym Niemiec w bezwzględnej wojnie gospodarczej, jaką Sowiety wypowiedziały w formie dumpingu całemu światu „kapitalistycznemu", przyczem w dodatku rynek światowy zostałby zalany — niemieckimi towarami. Wpływy zaś z tych towarów bolszewicy przeznaczają na wywołanie rewolucji — tak w Niemczech, jak i w całej Europie! Ostatnie masowe, codzienne niemal krwawe wystąpienia komunistyczne w różnych częściach Niemiec są doskonałą ilustracją do przestróg Rechberga.

Tak samo poseł z partji gospodarczej, Sachsenberg, oświadczył w Reichstagu, że „dotychczasowa polityka Niemiec wobec Sowietów, oparta na traktacie w Rapallo, oraz na późniejszych umowach niemiecko-sowieckich, przyniosła wyłącznie Związkowi Sowieckiemu korzyści polityczne i gospodarcze". Zaś minister spraw wewnętrznych Rzeszy, Dr. Wirth, stwierdził przerażające postępy terorystycznej działalności kominternu na terenie Rzeszy, szczególnie komunistycznej hecy przeciwreligijnej, prowadzonej bezpośrednio przez moskiewskiego „Bezbożnika", wymagającej specjalnych zarządzeń. Przecież to, co się stale dzieje we współczesnych Niemczech pod względem krwawych i masowych wystąpień komunistycznych, przechodzi wszystko, co się działo lub dzieje w jakiemkolwiek innem państwie cywilizowanem, w najgorszych nawet chwilach strejkowych

lub demonstracyjnych. Oto skutki „przyjaznych stosunków“ z „rajem sowieckim“.

Zbawczy wpływ katolicyzmu na orjentację Niemiec każe nam bez uprzedzeń i alarmów śledzić usiłowania doprowadzenia do bliższego współżycia pomiędzy Austrją a Niemcami, aż do ewentualnej realizacji „Anschlussu“ włącznie. Przecież w Prusach, w sferach „liberalnych“, protestanckich i hakatystycznych, Anschluss jest wręcz niepopularny. Sfery te obawiają się na wypadek „przedwczesnego“ Anschlussu nietylko utraty hegemonji w Niemczech przez protestanckie Prusy na rzecz katolickich Niemiec południowo-zachodnich, lecz również „zaprzepaszczenia“ rewizji granic wschodnich. W Niemczech południowych i Austrji niema sentymentu dla Pomorza i Prus Wschodnich, nie objętych granicami „Wielkich Niemiec“ z r. 1848. To też Berlin zastrzega się kategorycznie przeciwko myśli kompensowania Anschlussem uszczuplonej w wyniku wojny mocarstwowości Niemiec. A i my dalszy rozwój zbliżenia austrjacko-niemieckiego witać będziemy z zadowoleniem o tyle, o ile wzmoże ono wpływ Wiednia na Berlin, a nie odwrotnie.

VI. POLITYKA II MIĘDZYNARODÓWKI.

Szczególna uwaga należy się, w związku z powyższem, polityce II-ej międzynarodówki, mającej swoją centralę właśnie w Berlinie. Za ważki głos socjaldemokracji niemieckiej uważałbym świeżo wydaną książkę znanego uczonego socjalisty niemieckiego i jednego z wodzów II-ej międzynarodówki, Kautsky‘ego, p. t. „Bolszewizm w ślepej ulicy“ (Bolschewismus in der Sackgasse — Berlin, 1930). Kautsky stawia wprost pytanie praktyczne, jakim sposobem można obalić rządy bolszewickie w Rosji i wprowadzić demokratyczne, a dochodzi do wniosku, że albo cel ten osiągnięty zostanie przez ogólne powstanie rosyjskich chłopów pod kierunkiem ideowego proletarjatu miejskiego,

albo „bolszewizm zgnije w gnijącej Rosji“. Prz.emawia przez Kautsky‘ego nietylko nieprzejednana ideowa wrogość do bolszewizmu, ale też i troska o pojemność rynku rosyjskiego na produkty przemysłu niemieckiego; mówi bowiem, że obalenie bolszewizmu oznaczałoby jednocześnie „nieprzerwany wzrost nabywczej siły Rosji na rynku światowym“, a dalej: „Niestety, póki panuje bolszewizm, pojemność rynku rosyjskiego musi pozostawać zupełnie drobną“! Socjaliści francuscy i belgijscy rozwijają ostatnio, jak wiadomo, gorączkową propagandę za postulatami Niemiec w dziedzinach równouprawnienia zbrojeniowego („rozbrojenia“!) i rewizji granic, domagając się, między innemi, wypowiedzenia sojuszów obronnych przeciwniemieckich, względnie — uzgodnienia ich z niemieckim sztabem generalnym, celem nadania im charakteru „bilateralnego“! Wszak tego żąda wręcz b. premjer belgijski, Vandervelde.

Socjaliści niemieccy wszelkie z tej kampanji wyciągają korzyści. „Towarzysze“ zagraniczni tak łatwo im przebaczyli, że w r. 1914 poszli entuzjastycznie na wojnę, zadając kłam popularnemu i dziś twierdzeniu, jakoby jedno słowo międzynarodówki mogło wszelką wojnę uniemożliwić! Głosują ochoczo za kredytami wojskowymi i budową pancerników, bo przecież już „towarzysze“ zagraniczni zawczasu ich usprawiedliwili, że jest to konieczne dla niedopuszczenia do dyktatury prawicowej i dla wywalczenia ofiar finansowych od klas posiadających. Żądają oni rewizji granic, bo przecież nie może ona grozić wojną, skoro „towarzysze“ zagraniczni żądają tego samego.

Najbardziej zaś uderza współpraca drugiej międzynarodówki z nacjonalizmem niemieckim w głoszeniu konieczności ugody (kosztem Polski) dla wspólnego przeciwstawienia się bolszewizmowi (bez broni?), temu samemu bolszewizmowi, który zawdzięcza tak swoje powstanie w Rosji, jak i swoje ocalenie przed grożącą mu blokadą Europy, wyłącznie drugiej międzynarodówce. Jej to wpływy przecież głównie pogrzebały „kontrrewolucję“ i „interwencję“.

Obecnie zaś druga międzynarodówka stara się nadać sobie pozory zapory przeciwko — trzeciej międzynarodówce! W Niemczech wytworzyła się pomiędzy nacjonalizmem a socjalizmem jakgdyby gra na dwie ręce. (Innego rodzaju współpracę tych sił obserwujemy obecnie w Polsce *). Podczas gdy nacjonaliści grożą Europie sojuszem z Rosją, socjaliści, piętnując tę groźbę, korzystają z niej dla skłaniania Europy do rewizji terytorjalnych, finansowych i zbrojeniowych postanowień traktatu wersalskiego.

Bolszewicy, wskazując komunistom wszędzie socjalistów, jako głównego wroga (co w Polsce wywołało rozłam w komuniźmie), powodują przez to rehabilitację drugiej międzynarodówki w oczach Zachodu i nadanie jej charakteru — czołowej bojówki w „krucjacie kapitalistów" przeciw Sowietom (!?), zdolnej do każdej zbrodni na szkodę „interesów proletarjatu". Posłużył do tego proces, zainscenizowany przez Krylenkę przeciwko „mienszewikom", którzy jakoby usiłowali dokonać kontrrewolucji na polecenie i przy pomocy drugiej międzynarodówki, a szczególnie socjalistów niemieckich z b. prezydentem Ebertem na czele. Tak samo, jak w procesie przeciw „partji przemysłowej", oskarżeni „wyśpiewali" wszystko, czego pragnęła propaganda sowiecka, poczem wynagrodzeni zostali nic nie znaczącym, jak na sowieckie stosunki, wyrokiem. „Wina" ich została udowodniona, między innemi, autentycznym listem samego tow. Vanderwelde.

Nacjonaliści zaś niemieccy bynajmniej nie są ślepi na niebezpieczeństwo bolszewickie. Pragną oni je jednak wykorzystać właśnie jako atut dla wytargowania — za cenę udziału we froncie europejskim — coraz dalszych koncesji i ustępstw. Jest to ich najsilniejsza stawka, przy pomocy której liczą na skruszenie oporu Polski i jej sojuszników przeciwko „rewizji granic". Czy długo będą mogli przeciągnąć tę ryzykowną politykę i czy chwila ostatecznej

---

*) Sojusz narodowej demokracji z socjalistami. (Przyp. Red.).

decyzji nie jest może już bliska — to inna rzecz. W każdym razie przedstawiciele nacjonalistycznych kół niemieckich starali się ostatnio gorączkowo i nie bez powodzenia o nawiązanie kontaktu z prawicowemi kołami francuskiemi, celem przedyskutowania ewentualności sojuszu wojskowego francusko-niemieckiego dla obrony Europy przed bolszewizmem!! Proponują oni w tym celu międzynarodową konwencję wojskową — oczywiście za cenę równouprawnienia — mającą za zadanie uczynić z wojsk państw europejskich wspólną policję ochronną na użytek wewnętrzny i zewnętrzny. P. Jules Sauerwein zaś, znany porte-parole p. Brianda, bardzo sympatycznie wita tę koncepcję na łamach „Prager Tageblatt", uważając, że z takich „nacjonalistycznych snów o panowaniu wspólnem nad Europą" może się wyłonić realna myśl — przeprowadzenia powszechnego rozbrojenia!? Proponuje on nawet Ks. Luksemburskie jako siedlisko przyszłego „paneuropejskiego" naczelnego dowództwa!!? Sojusz ma więc być najlepszym lekiem na zbyt skomplikowane spory pomiędzy narodami!

VII. NACJONALIZM POLSKI ZA WSPÓŁDZIAŁANIEM Z MOSKWĄ.

Jakkolwiekbądź, nie mamy wrażenia, by Paneuropa w danych warunkach była jeszcze realną. „Nie tędy droga" musimy oświadczyć zbyt gorliwym masońskim propagatorom ideału, który tylko na przesłankach chrześcijańskich da się urzeczywistnić. Nie widzą jeszcze narody całej grozy „światowego niebezpieczeństwa"! Wypełniają one wiernie testament Lenina, który powiedział, że *polityka sowiecka winna, dążąc do zniszczenia świata kapitalistycznego, posługiwać się właśnie państwami kapitalistycznemi, by w swojej naiwności same uzbrajały Sowiety do decydującej walki.* Włosi, zajmując oazę Kufra, znale-

źli tam już zapałki sowieckie, w czem dowód, kto przeciwko nim popierał bunt Senussich. Niemcy zaś, dzięki swojej polityce prosowieckiej, stały się terenem najdzikszych orgji komunistycznych i hitlerowskich.

W obliczu tych wszystkich faktów trzeba stwierdzić ze smutkiem, że i w Polsce jest cały obóz, nietylko nie widzący tego niebezpieczeństwa i przeczący zwróconemu przeciwko nam frontowi Sowietów, lecz dostarczający im nawet argumentów do bezczelnych twierdzeń o przygotowywanym przeciwko nim jakoby najeździe. Obóz ten, budujący całą swoją politykę na petryfikacji sporu polsko-niemieckiego i operujący jedynie niebezpieczeństwem niemieckiem, któremu zresztą nikt w Polsce nie przeczy, usiłuje zarówno z trybuny parlamentarnej, jak i w organach swej prasy, nietylko bagatelizować, nietylko wręcz negować istnienie niebezpieczeństwa rosyjskiego, ale nawet czynić przejrzyste aluzje do możliwości współpracy polsko-sowieckiej.

Apostołami zbliżenia polsko-sowieckiego, a więc rzecznikami zdrady Europy i odwiecznego posłannictwa Polski, jako wschodniej strażnicy Chrześcijaństwa wobec „burzy od wschodu“, są pp. Roman Dmowski i Stanisław Kozicki w całym szeregu artykułów, ogłoszonych w „Gazecie Warszawskiej“. W artykule p. t. „Niemcy a Rosja“ pisze wielki „narodowy“ mąż stanu: „Przytem bolszewicy i Niemcy mają jeden wspólny interes w dobie dzisiejszej: pierwsi budują swą siłę zbrojną i swój przemysł na wielką skalę, a brak im pieniędzy oraz środków i sił technicznych; drudzy, wobec miljonów bezrobotnych, szukają zatrudnienia dla swego przemysłu i dla swych fachowców, gotowi też są dostarczać swych oficerów, inżynierów i swych maszyn na najdogodniejszych warunkach kredytowych. Stąd współpraca dwuch państw w bardzo szerokim zakresie, w s p ó ł p r a c a p o k o j o w a (?!), która (tylko) w przekonaniu Niemców upoważnia ich do nadziei na współpracę wojenną w niedalekiej przyszłości. Jednakże

zdaje się, że, gdy chodzi o Rosję i Niemcy, od współpracy pokojowej do wojennej jest dziś duża odległość (?).

„Bolszewicy od lat dwunastu rządzą Rosją. Dwanaście lat wystarcza, ażeby z rewolucji zamienić się w rząd, to znaczy, żeby nauczyć się myśleć nietyle o szerzeniu rewolucji, ile o utrzymaniu swego państwa i utrwaleniu w niem swej władzy. W ciągu tych lat dwunastu złożyli oni dowody dużego realizmu w myśleniu i dużej zręczności w polityce.

„Jakże się z punktu widzenia interesów państwa sowieckiego przedstawia wspólna z Niemcami wyprawa wojenna na Polskę?...

„Przedewszystkiem co mają do zyskania?“ ...„Źródła tego pchania się do przyjaźni nie trzeba było szukać. Przez odbudowanie Polski jesteśmy skrzywdzeni i my, i wy: musimy się połączyć, żeby tę krzywdę naprawić...

„Zdawałoby się, że to rzecz prosta i nawet u nas są ludzie, którzy z uporem za bardzo prostą ją uważają. A jednak...

„Niemcy, którzy przed wojną światową, przy swych wielkich ambicjach, dużo złożyli dowodów głupoty politycznej (?) i przez nią swą ogromną, znakomicie zorganizowaną potęgę zmarnowali i po wojnie nie są tak mądrzy, za jakich są podawani. Błądzą oni ciągle, zwłaszcza w tem, że uważają innych za głupszych o wiele od siebie".

„Logika“ w tem rozumowaniu jest wprost rozbrajająca. Ten wielki przedstawiciel „katolickiego“ obozu neguje więc wyraźnie, jakoby Sowiety były państwem Antychrysta, dążącem w prostej konsekwencji swojej racji bytu do zagłady całego świata chrześcijańskiego wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami. Zadają kłam słowom Arcybiskupa Metropolity Wszechrosji, Ks. Edwarda Roppa, który uznał Bolszewję za „państwo szatana“, będące z natury rzeczy w stanie nieubłaganej walki na śmierć i życie z „Królestwem Chrystusowem na ziemi“, bez względu na to, czy członkowie chrześcijańskiej rodziny narodów tę

walkę ze wspólnym wrogiem podejmą, czy też w swojem zaślepieniu, czy złej woli, chcą udawać, że go nie widzą, choć jest on już pomiędzy nami. P. Roman Dmowski idzie jednak jeszcze dalej. Bierze on w obronę całość i niepodzielność Rosji, zwłaszcza przed „niemieckiemi" knowaniami w kierunku oderwania Ukrainy, przyczem pomawia pewne koła w Polsce o odgrywanie roli „opiekunów Wielkiej Ukrainy", a więc zwolenników „polityki przeciwpolskiej"!? P. Dmowski podziela więc zaniepokojenie Sowietów możliwością zbliżenia polsko-ukraińskiego, zbliżenia, które prasa sowiecka w związku z listem pasterskim Biskupa Chomyszyna uważa za nakaz Watykanu! Istnienie Polski ma być jakoby w interesie Rosji dla niedopuszczenia Niemiec do bezpośredniego graniczenia z Ukrainą!!! Wywody te, tak djametralnie sprzeczne z doświadczeniem historycznem i logiką faktów, wiążących właśnie wzrost potęgi rosyjskiej najściślej z upadkiem Polski i odwrotnie, p. Dmowski uzupełnia następującem groteskowem twierdzeniem:

„Właściwie, od początku istnienia naszego odbudowanego państwa nie mieliśmy żadnych dowodów na to, ażeby Sowiety na serjo przedsiębrały wyprawę na Polskę w celu jej zniszczenia. Jeżeliśmy widzieli bolszewików pod Warszawą w r. 1920, była to tylko konsekwencja wyprawy kijowskiej, mającej na celu oderwanie Ukrainy od Rosji".

„Z powyższego rzutu oka na możliwe motywy współdziałania wojennego Sowietów z Niemcami przeciw Polsce współdziałanie to wydaje nam się na dłuższy czas bardzo wątpliwem"!! *).

---

*) **Odnosimy wogóle od dłuższego już czasu wrażenie, że zaślepienie partyjno-demagogiczne, będące podstawą ideologji i taktyki endeckiej, doprowadza w każdym razie starszą generację tego obozu „wiecznej negacji" do kompletnego absurdu, graniczącego już z jawną zdradą stanu. Wywraca się rzeczywistość i prawdę historyczną do góry nogami, bez**

W tej samej więc chwili, kiedy w Anglji ukazuje się książka o Polsce, pióra bynajmniej nie podejrzanego o zbytnie dla nas sympatje Lorda D'Abernona, p. t. „Osiemnasta rozstrzygająca bitwa świata — Warszawa 1920", w której autor składa hołd Polsce za uratowanie cywilizacji chrześcijańskiej przed naporem barbarzyństwa, wódz duchowy obozu „narodowego" w Polsce przystępuje bez skrupułów do próby zburzenia w świadomości świata cywilizowanego największej naszej zasługi, uzmysławiającej najsilniejsze podstawy moralne naszej racji bytu i będącej najsilniejszą tarczą w oczach społeczeństw kulturalnych nienaruszalności naszego obszaru państwowego, właśnie ze względu na rolę Polski jako bastjonu ochronnego zachodu. Okrywa się on smutną sławą apologety Sowietów, przedstawianych przezeń i jego współwyznawców jako ofiarę polskiej zaborczości i międzynarodowych intryg interwencyjnych. Doprawdy, gdy przypomnimy sobie Orędzie Papieskie, nawołujące świat cały do krucjaty modlitwy przeciwko bezbożnikom moskiewskim, przykre nasuwają się refleksje co do poziomu światopoglądu najwybitniejszych przedstawicieli naszej opozycji „prawicowej". Kiedy Mołotow zaalarmował Europę swojemi prowokacyjnemi deklaracjami, politycy „narodowi" nie mają większego zmartwienia, jak chęć przeciwdziałania za wszelką

żadnych „burżuazyjnych przesądów", aby tylko — przypodobać się Rosji i jej względy na wszelki wypadek za każdą cenę sobie zapewnić! Starzy endecy, „osiwiali w służbie ojczyzny", nie mogą zapomnieć tych dawnych czasów, kiedy to w cieniu berła Romanowych krajem przywiślańskim rządzili (a przynajmniej zdawało im się, że rządzili). Stąd głównym programem starej endecji na dalszą metę jest koniec końcem unja Polski etnograficznej z przyszłą „demokratyczną" Rosją, a jej „Sofortprogramm" zmierza do jak najdalej posuniętego wyciągania ręki do Moskwy, bez względu na jej barwę.

Nic dziwnego, że wobec takiego programu geruzji endeckiej, młody Obóz Wielkiej Polski zaczyna się tu i ówdzie już buntować! (Przyp. Red.).

cenę połączenia Austrji z Niemcami, w której to sprawie Polska bynajmniej nie jest zagrożona bezpośrednio i którą należałoby raczej ująć z punktu widzenia nieuchronnej konieczności dziejowej, nakazującej przewidującemu politykowi wyciągnięcie z niej zawczasu możliwych korzyści, by ewentualny fakt dokonany nie groził już tylko ujemnemi następstwami.

Pozatem p. Dmowski, w swojej trosce o całość i niepodległość Rosji i w swojej nienawiści do wolnej Ukrainy, stanął na stanowisku z identycznym postulatem zasadniczym polskiej partji komunistycznej, w myśl którego komintern nakazał likwidację komunistycznej partji zachodniej Ukrainy i wcielenie jej do polskiej partji komunistycznej!

P. Kozicki wyciąga zaś narzucający się wprost z powyższych przesłanek wniosek, że Polska nie powinna dać się wyprzedzić Niemcom w usadowieniu się gospodarczem w Rosji, „nie powinna pozostać w tyle“ za innymi narodami, pchającymi się do udziału w realizacji piatiletki, czyli w przygotowywaniu pętli na własną szyję. Politycy „narodowi“ dają więc wyraźnie do zrozumienia, że zazdroszczą Niemcom ich „Rapalla“, marząc o zajęciu miejsca Niemiec w sercu krwawego Antychrysta, kata nieszczęśliwego rosyjskiego narodu. Dobrze się jednak rozumieją nacjonaliści wszystkich krajów; jakżeż dalecy oni są od pojmowania najpierwotniejszych przykazań etyki chrześcijańskiej! Zastępuje się ją „etyką narodową“, zasadą krótkowzrocznego egoizmu i uświęcania środków przez cel, zawartą w osławionych Dmowskiego „Myślach nowoczesnego Polaka“. W pojmowaniu roli etyki w polityce leży też zasadnicza różnica pomiędzy światopoglądami „narodowym“ a zachowawczo-katolickim, choćbyśmy na innych polach do najbardziej nawet, pozornie czy prawdziwie, zbliżonych dochodzili niekiedy poglądów. Zwłaszcza polityka zagraniczna wysuwa się obecnie na czoło zasadniczych różnic orjentacyjnych, dzielących Polaków.

P. Marjan Zbrowski, pisząc niedawno w „Dniu Pol-

skim" na temat „fundamentów Rzeczypospolitej", stwierdza między innemi: „I oto Rosja bolszewicka, jak carska po wojnie japońskiej, odepchnięta od wschodu, znów jest w Europie. Właśnie w tych dniach ogłoszony został jej układ morski z Turcją, co do zbrojeń na morzu Czarnem i sąsiednich, polegający nie na ograniczeniu tych zbrojeń, ale na wzajemnem zawiadamianiu się stron na 6 miesięcy naprzód o zamiarze budowy statków. Czyż ten traktat nie oznacza zaktualizowania przez Rosję sprawy cieśnin, już w porozumieniu z nową Turcją, a więc sprawy dostępu Rosji do ciepłych mórz europejskich? Tak, Rosja bolszewicka, chętnie czy niechętnie, zwraca się znów czołem do Europy, a jest to jej i naszą tragedją dziejową.

„Dostatecznie chyba odczuliśmy jej podstępy i zuchwalstwo w Małopolsce Wschodniej i na Białej Rusi.

„Gdy wobec tego wszystkiego dn. 7 b. m. jeden z polityków prawej opozycji głosił w Senacie, że „Rosja dzisiejsza zwraca się frontem ku wschodowi azjatyckiemu", to nic dziwnego, że tę „nową myśl" (ma koło 200 lat i pamięta carową Katarzynę) większość izby przyjęła z uśmiechem. Było to tembardziej naturalne, że mówca sam się zgilotynował, wyrażając przekonanie, że gospodarczy plan 5-letni Rosji będzie „uwieńczony powodzeniem". Wszakże powodzenie tego planu oznacza zaczepną wojnę, conajmniej gospodarczą, Rosji przeciwko Europie, do tego wojnę dumpingową, czyli bandycką!

„Zostawmy prorokom proroctwo, jakiem państwem stanie się Rosja kiedyś, co kiedyś zechce lub uczynić będzie musiała. Na dziś i na przyszłość, dającą się przewidzieć, musimy się liczyć z tem, że Rosja z własnej woli, czy zrządzeniem losu, staje frontem otwartym, wyzywająco i w pełnem uzbrojeniu właśnie przeciwko Zachodowi, a jeżeli Zachód nie zdobędzie się na solidarność, to zginie".

Ostatnio wzmogła się znowu w Rosji Sowieckiej w przerażający sposób heca przeciwpolska. Okazję do tego daje prasie sowieckiej rozpoczęty w Warszawie proces

przeciwko sprawcy zamachu bombowego w poselstwie sowieckiem, Polańskiemu, w którym bolszewicy chcą za wszelką cenę widzieć prowodyra „białogwardyjskiego“, stojącego na czele potężnej organizacji, płatnej przez „polskich faszystów“. (W rzeczywistości jest to były agent sowiecki!). Prasa ta przypuszcza, że proces Polańskiego będzie przez wpływowe koła polskie przekształcony w wielką antysowiecką demonstrację. Wskazują już na to — zdaniem dziennika — głosy prasy rządowej, zapowiadające rewelacyjne zeznania Polańskiego w sądzie. „Ta antysowiecka manifestacja — kończy „Prawda“ — zrozumiana będzie przez Z. S. R. R. jako przejaw solidarności polskich kół rządzących z temi siłami, które intensywnie pracują nad wciągnięciem Polski do nowej antysowieckiej wojny“. „Krasnaja Zwiezda“ pisze: „Nowe zamysły polskich kół awanturniczych całkowicie demaskują obłudę kierowników polskiej polityki zagranicznej, którzy, wbrew swym pacyfistycznym zapewnieniom, stwarzają w rzeczywistości stałe niebezpieczeństwo dla spraw pokoju, prowokując zaostrzenie sowiecko-polskich stosunków. Rząd polski akcją swoją w związku z przestępstwem Polańskiego wykazał absolutny brak chęci pokojowego współżycia“. Chodzi więc o zrzucenie zawczasu odpowiedzialności na Polskę za przyszłą, „nieuniknioną wojnę“. Dla propagowania zaś na świecie tych bezczelnych insynuacji potrzebna jest Sowietom nasza „prasa narodowa“. Ubolewają oni tylko, że głos jej pozostaje w Polsce „głosem wołającego na puszczy“. Nie szczędzą jej zato dowodów wdzięczności i uznania!

„Izwiestja“ np. w doniesieniu z Warszawy cytują obszernie ocenę przemówienia prezesa rady komisarzy ludowych Mołotowa w „Gazecie Warszawskiej“, zaznaczając, iż wywody tego pisma, podkreślającego wielkie znaczenie stosunków francusko-sowieckich, nie są bezpodstawne. Wywody „Gazety Warszawskiej“ zasługują na uwagę już

chociażby dlatego, iż pismo to, o orjentacji frankofilskiej, odczuwa, iż Francja zajmuje nie ostatnie miejsce w międzynarodowych intrygach przeciwsowieckich". Czyż to nie podła, acz zamaskowana denuncjacja wobec Moskwy wielkiej naszej sojuszniczki!?

Obóz „narodowy" jest widocznie nieuleczalnie chory na „orjentację dziegciową". O ile bowiem usprawiedliwić można do pewnego stopnia orjentację rosyjską w czasie wielkiej wojny, o tyle trudno rozumieć ustawicznych umizgów w stronę czerwonego spadkobiercy caratu, o których w pamiętnikach Biesiedowskiego znajdujemy tak rewelacyjne i wysoce kompromitujące przywódców „narodowych" szczegóły. *Skąd w naszym narodzie, tak dumnym ze swego dziejowego posłannictwa i ze sławnej tradycji Jagiellońskiej, wziął się ten duch niewolniczy, płaszczący się w imię „złotej wolności" przed spadkobiercami Katarzyny, który ongiś dla prywaty, dla niskiego partyjnictwa i zawiści zgubił Polskę?!* W sojuszu właśnie z Rosją konfederacja koronna Targowicka „ratować" chciała „demokrację" przed reformą konstytucji!

Słusznie zauważa p. Marjan Zbrowski w cytowanej już przez nas pracy: „Dziś Niemcy czekają i patrzą oczami Kautsky'ego, czy bolszewizm zostanie obalony, czy „zgnije w gnijącej Rosji". Jeżeli rozwój Rosji gospodarczy i militarny dalej tak iść będzie, jak dotąd, to Niemcy muszą zrozumieć, że *Rosja wówczas dopiero przestanie być niebezpieczeństwem dla całego świata zachodniego* i dla nich także, *jeżeli jej granice europejskie nie będą przekraczały zasięgu plemienia wielkorosyjskiego.* Ta myśl nie była i nie jest im obca, ale nie rozumieją jeszcze, że

Polska jest i zostanie, a dla nich kasztanów z ognia wyciągać nie będzie.

Tymczasem musimy wytrzymać, bo skazani jesteśmy na bytowanie między Niemcami, jakie są i Rosją, jaką jest.

Geografja jest potężnym politykiem, który milcząc dyktuje swoje decyzje. Jej wskazania dla nas na dziś są takie, że musimy stać się pogotowiem obronnem w znaczeniu współczesnem, t. j. nietylko militarnem, ale i gospodarczem. To znamię pogotowia musi nosić i nasz ustrój państwowy, czy się to jakimś tam oratorom pryncypialnym na świecie i u nas podoba, czy nie. Takiego pogotowia nie stworzy ustrój, w którym rząd i parlament są jakby dwa okręty, które latami manewrują we mgle, zderzając się i rozchodząc; ani taka organizacja władzy wogóle, która nie jest normalnie związana z gospodarczemi, społecznemi i kulturalnemi organizacjami narodu; ani taki parlament, który jest najpożyteczniejszy wówczas, gdy go niema". Fiasko solidarności Europy zmusza nas właśnie tembardziej do nadania naszemu państwu takiego „kośćca pacierzowego", by uczynić je zdolnem do zwycięskiego wytrwania, jak ongiś za Jagiellonów, pomiędzy scyllą bolszewicką a charybdą niemiecką.

Adam Romer.

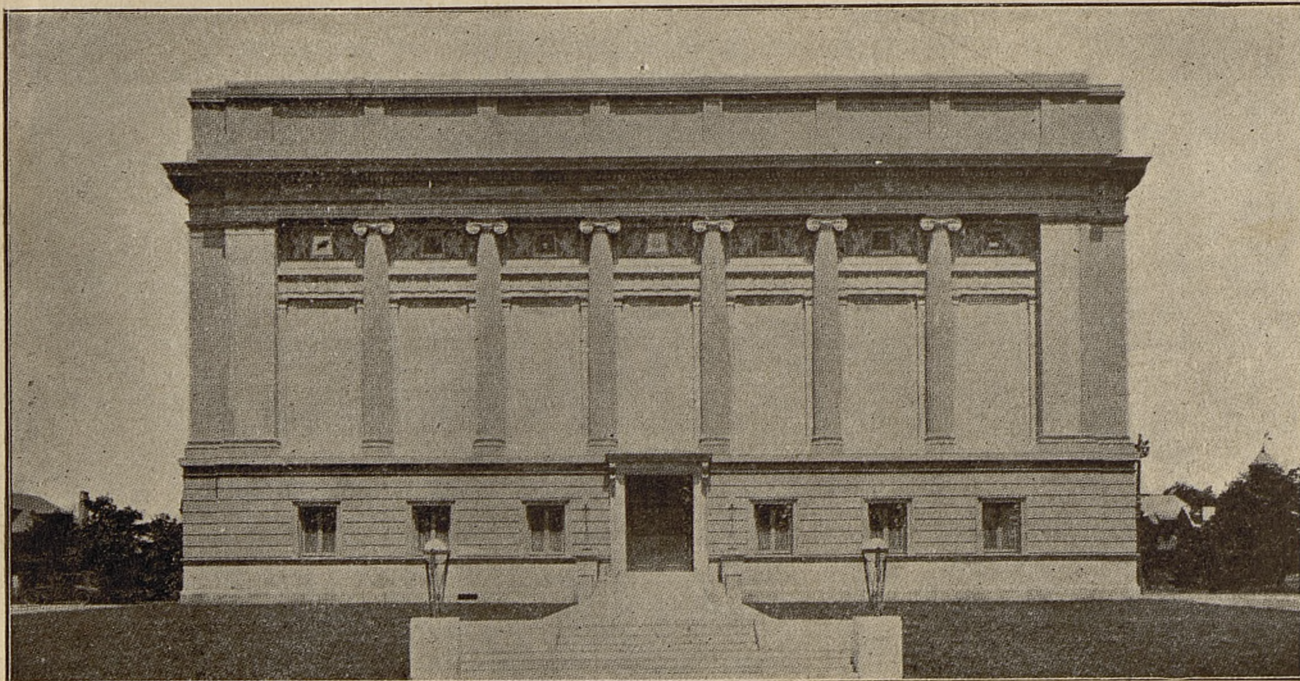
ŚWIĄTYNIE MASOŃSKIE.

Dużo jest jeszcze u nas ludzi, którzy bądź wogóle ignorują masonerję, uważając ją za coś nierealnego, fikcyjnego, bądź sądzą, że chociaż masonerja istnieje, to nie przedstawia żadnej naprawdę realnej potęgi i nie może wpływać na bieg wypadków światowych. Są wreszcie i tacy, którzy „wierząc“ w istnienie masonerji, uważają ją tylko za rodzaj korporacji czy towarzystw, mających cele towarzyskie, czy ekonomiczne, czy filantropijne na widoku.

Zaprzeczają też gołosłownie jednemu z głównych zadań masonerji, a zarazem jednej z jej cech naczelnych, a mianowicie, iż masonerja wszelkich odcieni stoi na podkładzie pewnej specyficznej mistyki i jest stworzona dla walki z Kościołem katolickim; że jest to stowarzyszenie wybitnie wywrotowe, o specjalnej, wrogiej katolicyzmowi, a w dalszym planie i chrystjanizmowi, filozofji religijnej — kabalistycznej i w ostatecznym swym przejawie: satanistycznej.

Jaką jest działalność masonerji w świecie polityki międzynarodowej, o tem nie wiedzą tylko ci, co wiedzieć nie chcą, gdyż co pewien czas pojawiają się na widowni publicznej dokumenty pierwszorzędnej wagi, malujące działalność tę z całą jaskrawością, a dostępne dla wszystkich.

Dla uniknięcia zarzutu, że bezpodstawne lub przesadzone wygłaszamy zapatrywanie, wspomnijmy tylko o takich „danych“, jak „plan“, pisany własnoręcznie przez Weishaupta, a skonfiskowany przez władze policyjne bawarskie na wiele lat przed rokiem 1789, w którym to planie opracowaną była w najdrobniejszych szczegółach przyszła rewolucja francuska, włącznie z jej okresem terroru.

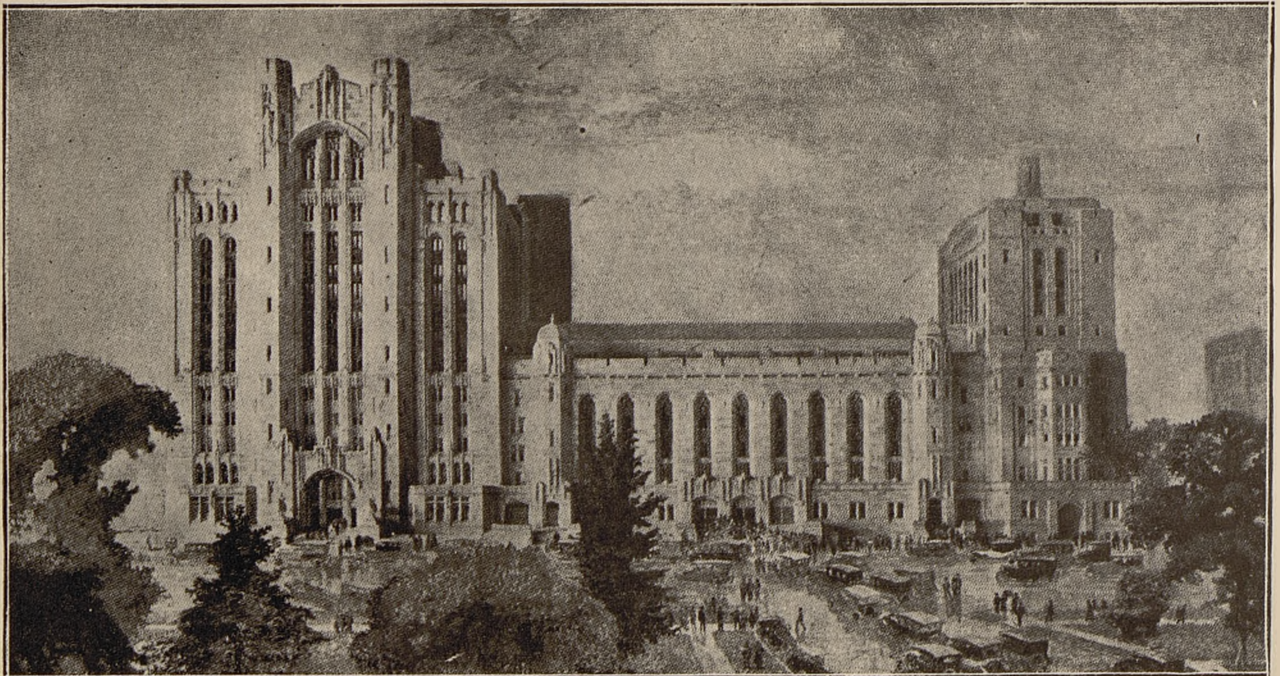


ŚWIĄTYNIA MASOŃSKA, PETERSON, NEW-JERSEY.



KATEDRA MASOŃSKA OBRZĄDKU SZKOCKIEGO, INDIANOPOLIS, INDIANA.

ŚWIĄTYNIE MASOŃSKIE



NAJWIĘKSZA NA ŚWIECIE ŚWIĄTYNIA MASOŃSKA, DETROIT, MICHIGAN.

Dalej, taki raport hr. Haugwitza, ministra pruskiego, odczytany na kongresie w Weronie w r. 1822, oraz szereg dokumentów, odnoszących się do związku loży Carbonarich z Napoleonem III, następnie dokumentów o działalności ministerstwa Combesa we Francji, o rewolucji bolszewickiej, a zwłaszcza jej początkowym rozwoju w Rosji, o krwawej tragedji meksykańskiej w ciągu niemal całego wieku i t. d.

Nie mamy zamiaru przeprowadzać tu specjalnego studjum nad działalnością masonerji w świecie, pozostawiając tę niezwykle doniosłą, ale i tajemniczo zawiłą sprawę specjalistom. Pragniemy natomiast tylko naocznie wykazać pewne jaskrawe przejawy mistyki masońskiej, a jednocześnie i niezaprzeczalną potęgę finansową masonerji. Podajemy w tym celu parę fotografji znakomitych „lóż-świątyń" wolnomularstwa obrządku szkockiego w Ameryce.

Na pierwszej fotografji widzimy coś w rodzaju świątyni greckiej, a raczej mauzoleum, z charakterystycznym brakiem okien, który jakgdyby odpowiada „ciemnym" nabożeństwom sekciarzy; o rozmiarach gmachu świadczą widoczne obok drzewa i domy mieszkalne.

Druga fotografja ukazuje nam „katedrę" w stylu angielskiego gotyku, o jeszcze większych rozmiarach i zupełnie „świątyniowym" wyglądzie. Trzecia — to już kolos „nowożytny", coś między dworcem kolejowym a palacehotelem, gdzie typ świątyni przebija się tylko w linjach konturów i pewnych szczegółach, ale gdzie przedewszystkiem ogrom gmachu świadczy o bogactwie właścicieli.

Sam fakt istnienia tego rodzaju budowli — a jest ich bardzo wiele nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz i w innych krajach — świadczy niezbicie zarówno o stronie transcendentalnej masonerji, o istnieniu jakichś „nabożeństw", odprawianych przez ludzi, wrogich Kościołowi i Bogu, jak i o rozległych finansowych możliwościach tajnych związków, pozwalających sobie na budowę takich gmachów.

O ileby ktoś z naszych czytelników interesował się temi sprawami i zechciał bliżej się zapoznać z działalnością i organizacją tych tajnych i ciemnych sił świata, możemy polecić mu przedewszystkiem następujące dzieła: A. Preuss: „Etude sur la Franc-Maçonnerie americaine“, E. Małyński: „La Grande Conspiration mondiale“, Mgr. Delassus: „La Conjuration antichretienne“, G. Martin: „La Franc-Maçonnerie francaise et la préperation de la Révolution“, N. H. Webster: „The world revolution“, Gregor Schwartz-Bostunitch: „Die Freimaurerei“.

Michael.

RENTOWNOŚĆ DOMÓW?

Własność nieruchoma miejska traktowana jest u nas od pierwszej chwili odrodzenia niepodległości państwowej według najdemagogiczniejszych wskazań doktryny socjalistycznej. Ulegają tej doktrynie w stosunku do „kamieniczników" nawet zdecydowani przeciwnicy socjalizmu, często nawet ludzie pod każdym innym względem bardzo umiarkowani, a mimo to podlegli nieświadomie wpływom marksizmu.

W rezultacie wyraz „kamienicznik" stał się u nas symbolem „burżuja", opitego krwią i potem proletarjatu, synonimem zaśniedziałego kapitalisty, pojmowanego przez ogół społeczeństwa polskiego niezbyt różnie od pojęć bolszewickich w tej dziedzinie.

Pojęcie takie — będące w gruncie rzeczy oburzającą, a samobójczą dla gospodarstwa krajowego krzywdą kapitału narodowego, inwestowanego w budynki — wpajane od kilkunastu lat w mózgi zwłaszcza lokatorów i sublokatorów, zdemoralizowało ich w wysokim stopniu. Wypaczyło także nastawienie i politykę kolejno po sobie następujących rządów czy reżimów, które wszelkie swe dotychczasowe projekty i poczynania w zakresie rozbudowy miast i dostarczenia dachu bezdomnym opierały zawsze — świadomie lub podświadomie — na tej właśnie zaszczepionej ogółowi przez socjalizm ideologji walki z „kamienicznikiem-wyzyskiwaczem", a realizację tych projektów opierały również na coraz dalszej konfiskacie „zysków" kamienicznika.

Oto główny, jeżeli wogóle nie jedyny powód niepokonalnych dotąd trudności w akcji rozbudowy miast. O tę właśnie bezkrytyczną, fałszywą ideologję rozbijają się do-

tąd wszelkie piękne frazesy o błogosławieństwach pomyślnego rozwiązania sprawy mieszkaniowej. Bo budowa nowych mieszkań i utrzymanie w porządku starych jest takim samym interesem gospodarczym, jak każde inne przedsięwzięcie — fabryczne, rolne, handlowe czy finansowe. Przedsiębiorstwo musi dać zysk, inaczej kapitał od niego ucieka. Ale w Polsce ta oczywista prawda nie jest dotąd praktycznie uwzględniona w żadnym dziale gospodarstwa krajowego, a już najmniej w dziale prywatnego budownictwa i własności nieruchomej miejskiej wogóle, która nadto stoi pod absurdalnym pręgierzem „pasorzytniczych, nieuzasadnionych zysków", mimo, iż dzieje rentowności kamienic w ostatnich kilkunastu latach zadają wyraźny, jaskrawy kłam tej par excellence socjalistycznej legendzie.

Przełamanie i zniszczenie tej najgłupszej i nawet dla szerokich mas bezdomnych najszkodliwszej legendy o pasorzytnictwie i rzekomej rentowności kapitału, inwestowanego w kamienicach, winno być wprost obowiązkiem patrjotyzmu gospodarczego i humanitarnego wszystkich tych sfer i czynników, które zdolne są pojąć całą głębię iście bolszewickiego nonsensu traktowania tej najniezbędniejszej ze wszystkich gałęzi gospodarstwa krajowego jako pasorzyta. Bo w najgorszym razie można nie mieć wielkiego przemysłu i rolnictwa, czerpiąc żywność z importu. Ale zupełnie niepodobna żyć bez dachu nad głową. Dlatego też wymierzenie wszelakich niszczących projektów i rygorów ze strony opinji publicznej i różnych rządów przeciw własności nieruchomej miejskiej jest największym z tych wszystkich nonsensów gospodarczych i społecznych, jakimi popisał się dotąd radykalizm demokratyczny w niepodległej Polsce.

Traktowanie kapitału narodowego, inwestowanego w „dach nad głową", systemem mniejwięcej socjalistycznym, z uprzedzeniem i nienawiścią, podkopało w Polsce nietylko piekący postulat mieszkaniowy, ale i... hipotekę! Polska zeszła do rzędu państw „wschodnich" i „niepew-

nych“, gdzie żadne solidne prawo własności nie obowiązuje, gdzie najpewniejsza dawniej lokata kapitału — hipoteczna — stała się płynną.

Podkopując hipotekę kamienic, podkopano tem samem lekkomyślnie „hipotekę praworządności“ wewnętrznego ustroju młodego państwa polskiego, a niszcząc rentowność kapitału kamienicznego, dąży się z upartem doktrynerstwem do zniszczenia jednego z najważniejszych działów gospodarstwa narodowego.

Bo to trzeba sobie dobrze uświadomić, że budynek mieszkalny jest bezwzględnie jednym z wielce produktywnych objektów gospodarczych, że zatem własność nieruchoma miejska wymaga tak samo rentowności, uznania i opieki, jak każda inna gałąź gospodarstwa krajowego.

Rzecz to jasna, prosta, niemal banalna, a przedewszystkiem bezsporna. A jednak w Polsce trzeba, aby społeczeństwo, sejmy i urzędy zaczęły uczyć się na nowo tej rzeczy, równie prostej, jak aksjomat, że dwa razy dwa jest cztery!

Otwieramy dla tej piekącej, a tak dalece przez demokrację wypaczonej sprawy łamy naszego pisma. Aby zaś rozpocząć odrazu od czegoś konkretnego, może nawet nazbyt drobiazgowego, coby jednak zadowoliło najbardziej nawet wymagające umysły naszych pedantów cyfrowych i statystyków. zamieszczamy na początku pierwszy wynik szczegółowych prac p. Jerzego Schimmela, obecnie posła na sejm, znawcy spraw własności nieruchomej, który podjął się żmudnej, drobiazgowej, ale zato tem dokładniejszej i źródłowej pracy tabelarycznego opracowania zagadnienia istotnych stosunków rentowności domów mieszkalnych, poczynając przykładowo od przedmieść Łodzi i uwzględniając wszelkiego rodzaju objekty, od najmniejszych do większych, za wyjątkiem tylko budynków, grożących już wprost ruiną.

Doniosły wniosek, jaki wyciąga autor, między innymi, w kierunku odpowiedniej publiczno-prawnej organizacji

własności nieruchomej miejskiej, jako olbrzymiej „g a ł ę z i g o s p o d a r s t w a k r a j o w e g o“, nadaje jego zestawieniom i wywodom tem większego pozytywnego waloru.

Redakcja.

Ponieważ szerokie warstwy społeczeństwa naszego są jednomyślne co do dzisiejszej dochodowości domów, uważając ją za dostateczną; ponieważ pogląd taki jest błędny i świadczy o zupełnej nieznajomości faktycznego stanu rzeczy; ponieważ gołosłowne oświadczenia nielicznych przeciwników takiego poglądu nie znajdują wiary w społeczeństwie i są a limine odrzucane, jako rzekomo tendencyjne; i ponieważ błędne poglądy na sprawy gospodarcze odbijają się ujemnie na polityce ekonomicznej i podatkowej wobec tych gałęzi gospodarstwa narodowego — przeto zdecydowałem się w końcu ubiegłego roku, przeprowadzić szczegółowe badania co do rentowności domów, ograniczając narazie zakres ich do jednego tylko miasta, do Łodzi. Rozpocząłem badanie od stwierdzenia stanu faktycznego na przedmieściach. Badania nad rentownością domów w śródmieściu są w toku i zostaną również ogłoszone drukiem.

Niżej podane obliczenia dla domów przedmieść nie są ostateczne. Szczegółowe wykończenie tych opracowań będzie wymagało jeszcze kilkomiesięcznej pracy. Jednak prowizoryczne wyniki są tak s e n s a c y j n e, tak rażąco sprzeczne z panującym powszechnie poglądem, że uważam za swój obowiązek zakomunikować je społeczeństwu.

Przy wyborze domów do zbadania starannie unikano takich nieruchomości, których stan techniczny był znacznie gorszy od przeciętnego stanu domów w danej dzielnicy

miasta. W ten sposób wyniki tych badań można śmiało przyjąć za typowe dla całej dzielnicy. Możnaby nawet z dużem prawdopodobieństwem wysunąć twierdzenie, że uogólnienie wyników tych na całe dzielnice da raczej obraz zabarwiony optymistycznie.

Zanim przejdę do omówienia samych wyników, chciałbym poruszyć technikę zbierania danych.

Zdecydowałem się na zbieranie danych statystycznych przez specjalnie zaangażowanego urzędnika — studenta prawa — ponieważ taki sposób daje maximum gwarancji co do ścisłości i jednolitej klasyfikacji poszczególnych pozycji. Badano rentowność domów za rok 1929, ponieważ w końcu roku 1930, kiedy rozpoczęto badanie, jeszcze nie wszystkie wydatki, związane z domem za rok 1930, były uskutecznione.

Oczywiście, ani czas, ani zwłaszcza środki materjalne, jakie miałem do dyspozycji, nie pozwoliły na zbadanie wszystkich domów w Łodzi. Byłaby to praca, zakrojona na kilka lat; tak opóźnione stwierdzenie wyników byłoby wobec palącej aktualności naszych problemów mieszkaniowych równoznaczne z przysłowiową musztardą po obiedzie. Ponadto pochłonęłaby taka praca kilkadziesiąt tysięcy złotych, którymi nie dysponowałem. Wobec tego zdecydowałem się na zbadanie niewielkiej ilości domów, które można uważać za typy reprezentacyjne dla danej dzielnicy. Nawiasem nadmienię, że taką samą drogę obrał Instytut Badania Konjunktur i Cen w Warszawie dla zbadania rentowności domów warszawskich. Analogiczną metodę stosują dość często biura statystyczne miast zagranicznych, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o szybkie zbadanie jakiegoś zjawiska. W Niemczech metoda ta jest znana w statystyce pod nazwą „Stichprobenverfahren". Dotychczas zbadano ogółem 188 (sto osiemdziesiąt osiem) domów, a mianowicie:

na przedmieściu	Chojny	— 56	domów,
„ „	Zarzew	— 61	„
„ „	Widzew	— 21	„
„ „	Bałuty	— 50	„
ogółem		188	domów.

Co do wielkości domów, znajdują się między nimi wszystkie kategorje. Począwszy od małych domów, których roczny przychód wynosi zaledwie 399 zł., a skończywszy na kamienicy, odrzucającej rocznie 22.428 złotych. Co do materjału budowlanego, uwzględniono 3 rodzaje domów: murowane, drewniane i mieszane (drzewo i mur), a mianowicie:

		w %%
domów murowanych	— 90	48
„ drewnianych	— 52	28
„ mieszanych	— 46	24
ogółem	— 188	100

Co do rodzaju mieszkań, licząc kuchnię za izbę, zbadano:

1 - izbowych	— 3340
2 - „	— 365
3 - „	— 75
4 - „	— 11
5 - „	— 4

Ponadto w domach tych było 202 lokali handlowych (sklepy, warsztaty, składy i t. p.). Dochód z domów ustalono według nakazów płatniczych dla państwowego podatku od nieruchomości. Jak wiadomo, podatek ten jest wymierzany w zależności od wysokości globalnego przychodu z danego domu. Magistraty miast, które są obowiązane do ściągania tego podatku, prowadzą szczegółowy kataster wszystkich mieszkań i wysokości ustawowego ko-

mornego, płaconego za dany okres za każde mieszkanie. Z doświadczenia wiem, że katastry te są prowadzone dość dokładnie, tak, że uważałem za możliwe korzystać z nich.

Wydatki ustalano według rachunków i pokwitowań. Mniejsze pozycje, jak wynagrodzenie dozorcy, wywóz śmieci i t. p., na które nie było rachunków, ponieważ niema zwyczaju kwitowania (np. płace dozorcy), albo dla braku umiejętności pisania wśród takich osób, jak śmieciarze, woźnicy furmanek i t. p., przyjmowano według zeznań właścicieli domów. Były to jednak pozycje niewielkie i niewątpliwe.

Tytułem amortyzacji liczono od domów murowanych i mieszanych 1% sumy asekuracyjnej, a od domów drewnianych 1,5%.

Za czynności administracyjne i meldunkowe potrącano przeciętnie 10% przychodu, co jest niewiele wobec małych sum, jakie te domy naogół odrzucają oraz dużych kłopotów, jakie sprawiają swym właścicielom, zwłaszcza wobec odpowiedzialności administracyjno-sądowo-karnej, ciążącej na administratorach i właścicielach domów, niezależnie od tego, czy te czynności sprawuje jedna, czy dwie osoby.

Zanim przejdę do omówienia dochodowości badanych domów, muszę jeszcze oświetlić warunki ekonomiczne, w jakich te domy się znalazły po wybuchu wojny światowej, aż do dnia dzisiejszego. Jak wynika z wyżej przytoczonej statystyki wielkości mieszkań, w domach tych 93% wszystkich mieszkań stanowią mieszkania 1-izbowe. Domy te są więc przeważnie zamieszkane przez ludność o małych i najmniejszych dochodach. A ponieważ Łódź jest miastem przemysłowem, więc należy przypuszczać, że lokatorami tych domów są przeważnie robotnicy. Z chwilą mobilizacji w 1914 roku stanęły w Łodzi odrazu wszystkie fabryki; mieszkańcy tych domów stracili swoje zarobki, zatem nie mogli opłacać komornego. Stan taki trwał do połowy roku 1919, a więc pełne pięć lat. Możemy

przyjąć za pewnik, że przez te pięć lat właściciele tych domów nie „uzbierali“ nawet tyle „datków“ od swych lokatorów, aby opędzić najelementarniejsze wydatki, jak wywóz śmieci i nieczystości lub wynagrodzenie dozorcy, jeżeli go posiadali.

Następne pięć lat były okresem gwałtownej deprecjacji pieniądza. A ponieważ jednocześnie, począwszy od roku 1919, obowiązywała reglamentacja komornego, przeto dochód z komornego za ten okres nie mógł się dostosować do spadku wartości pieniądza, jak to miało miejsce z płacami i był napewno nie wyższy, niż w czasie wojny. Stan ten trwał do 1 maja 1924 roku, to jest do chwili, od której zaczęła obowiązywać ustawa o ochronie lokatorów z dnia 11 kwietnia 1924 r.

W myśl tej ustawy stawki komornego wynosiły:

Okres	Komorne za mieszkania 1 i 2-izbowe	Świadczenia dodatkowe	Podatek od nieruch. państw. od „b“	Podatek od nieruch. dodatek komun. w % „b“	Pozostało dla właścicieli domu w % (b, c, d, e)	Po uwzględnieniu dewaluacji złotego w 1925 r.
A	b	c	d	e	f	g
Od 1/5 — 1/7 1924 r.	5%	11%	20%	25%	15% przedwoj. komorne	15,—
„ 1/7 — 1/10 „	9%	11%	20%	25%	17,75% „	17,75
„ 1/10—31/12 „	13%	11%	20%	25%	20,75% „	20,75
„ 1/1 — 1/4 1925 r.	19%	11%	12%	100%	25,44% „	25,44
„ 1/4 — 1/7 „	25%	11%	12%	100%	30% „	30,—
„ 1/7 — 1/10 „	31%	11%	12%	100%	34,56% „	20,—
„ 1/10—31/12 „	37%	11%	12%	100%	39,12% „	22,70
„ 1/10—31/12 1926 r.	43%	11%	10,5	25 60%	48,41—46,90	27,7
„ 1/1 —31/12 1927 r.	43%	11%	8,8	25—60%	49,28—47.96	28,2
„ 1/1 — 1/7 1928 r.	43%	11%	7,7	25—60	49,86—48,71	28,6
„ 1/7 — 1/10 „	49%	11%	7,7	25—60%	55,29—53,97	31,5
„ 1/10—31/12 „	55%	6%	7,7	25—60%	54,45—53,35	31,4
„ 1/1 — 1/4 1929 r.	61%	6%	7,7	25—75%	61,23—59,1	35,—
„ 1/4 — 1/7 „	67%	6%	7,7	25—75%	66,67—64,33	38,—
„ 1/7 — 1/10 „	73%	6%	7,7	25—75%	72,75—67,75	40,6
„ 1/10—31/12 „	79%	—	7,7	25—75%	71,53—68,77	40,8
„ 1/1 — 1/4 1930 r.	85%	—	7,7	25—75%	76,97—74,0	44,—
„ 1/4 — 1/7 „	91%	—	7,7	25—75%	82,4 —79,2	47,—
„ 1/7 — 1/10 „	97%	—	7,7	25—75%	87,8 —84,4	50,—
„ 1/10—31/12 „	100%	—	7,7	25—75%	90,6 —87,0	51,6

Jak wiadomo, w drugiej połowie 1925 roku załamał się kurs złotego. Skutkiem tego relacja złotego rubla do złotego franka, równego pierwotnemu złotemu, uległa

zmianie: zamiast 100 : 266, stosunek faktyczny wyraża się obecnie 457 złotych za 100 rubli przedwojennych, czyli 4 złote i 57 groszy za 1 rubla. Jednak dla przerachowania przedwojennego komornego zatrzymano dawniejszą, dziś już zupełnie fikcyjną relację 1 rb. = 2,66 zł. Takie zatrzymanie dawnej relacji jest równoznaczne z faktycznem obniżeniem ustawowych stawek komornego o 42%, ponieważ ceny na rynku wewnętrznym bardzo szybko dopasowały się do zmienionej waluty. W ten sposób faktyczne wpływy właścicieli domów, obliczone w stosunku do przedwojennego komornego według dzisiejszej waluty obiegowej, wyrażają się następującą tabelką:

od 1/7 1914— 1/5 1924 r.	(10 lat)	—		0,—
„ 1/5 1924—31/12 1924 r.	(8 mies.)	—	śred. za cały okr.	17,83%
„ 1/1 1925—31/12 1925 r.	(rok)	—	„ „ „ „	24,53%
„ 1/1 1926—31/12 1926 r.	„	—	„ „ „ „	27,7
„ 1/1 1927—31/12 1927 r.	„	—	„ „ „ „	28,2
„ 1/1 1928—31/12 1928 r.	„	—	„ „ „ „	30,—
„ 1/1 1929—31/12 1929 r.	„	—	„ „ „ „	38,6

Według wyników ankiety, koszty, związane z utrzymaniem domu (asekuracja ogniowa, wywóz śmieci i nieczystości, oświetlenie, czyszczenie kominów, wydatki na wapno, smołę, dozorcę i administrację, koszta sądowe i honorarja adwokackie, opłaty rejentalne i t. p. wydatki), bez kosztów konserwacji i napraw, pochłonęły w roku 1929 — 230.478 zł. i 24 gr. Jest to 39% wpływów brutto. A więc według wyżej przytoczonej tabeli przychód z domu zaczął pokrywać te elementarne wprost wydatki dopiero od 1.I.1926 r. począwszy. Do tego czasu trzeba było przez 11 lat dopłacać do utrzymania domu. O remontach i naprawach, ani o oprocentowaniu sum hipotecznych i własnego kapitału nie można było marzyć.

Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że na ogólną liczbę zbadanych mieszkań i lokali handlowych w ilości 3.997, mieszkania 1- i 2-izbowe, które według ustawy traktowano w sposób jednakowy, stanowiły 3705 mieszkań, czyli 93%; że komorne z tych mieszkań przez 10 lat, t. j. od 1.8.1914 r. do 1.5.1924 r., było bliskie zera, a przez następne cztery lata, to jest od 1.5.1924 r. do 1.7.1928 r., wynosiło w przecięciu zaledwie kilkanaście do 30% przedwojennego komornego; że 52% tych domów było typu drewnianego względnie półdrewnianego, a więc mniej trwałego — to nie potrzeba posiadać wielkiej bystrości umysłu, aby wywnioskować, że na konserwację owych domów właściciele ich przez 14 lat nie mogli łożyć ani grosza. Ponieważ nie były to domy nowe, budowane przed samą wojną, lecz stojące po kilkanaście a nawet kilkadziesiąt lat, przeto wymagały corocznych remontów. Zaniedbania remontowe mają to do siebie, że koszta remontu, dokonanego z opóźnieniem, wzrastają bardzo szybko; remont np. dachów, dokonany we właściwej porze, kosztuje powiedzmy 100 zł., dokonany po 10 latach pochłonie może 10.000 zł., bo już cały dach i całe belkowanie trzeba zmienić.

W takiej właśnie sytuacji znajdują się dziś domy na przedmieściach Łodzi. Wszystkie części drewniane w tych domach, a więc podłogi, stropy, okna, drzwi, schody, dachy, bramy i t. d., wymagają albo kapitalnego remontu, albo wręcz zastąpienia przez nowe elementy. To samo należy powiedzieć o częściach niedrewnianych, jak piece, zamki, tynki na ścianach, pompy, zlewy, rurociągi i t. p. Mało tego. Niektóre budynki pomocnicze, jak komórki, ustępy, trzeba wznosić na nowo od fundamentów, ponieważ naprawić się już nie dadzą. Jednocześnie przepisy budowlane wymagają, żeby te budynki były wykonane z materjału ogniotrwałego, a więc z cegły lub betonu. Podraża to ogromnie koszta remontowe w porównaniu z kosztami, jakieby pochłonęły np. drewniane komórki.

Katastrofalny stan techniczny domów mieszkalnych stwierdza nietylko ankieta, na której się opieram, lecz również ogromna ilość nakazów remontowych, nadsyłanych przez Inspekcję Mieszkaniową Magistratu. Widziałem nakazy remontowe, żądające odnowienia dosłownie wszystkich elementów drewnianych danego domu! Magistrat łódzki nietylko, że nie wchodzi w to, czy właściciel danego domu ma wpływy na pokrycie tych remontów, lecz kilkakrotnie występował do władz centralnych o wstrzymanie podwyżek komornego, chociaż 65% właścicieli tych domów — według wyników ankiety — są robotnikami, rzemieślnikami i niższymi funkcjonarjuszami, uposażonymi nie lepiej od robotników.

Jeszcze jedną, specyficznie łódzką okoliczność muszę przytoczyć, która w bardzo znacznej mierze przyczynia się do zwiększenia kosztów utrzymania domów. Łódź, jak wiadomo, nie posiada miejskiej sieci wodociągowej. Mieszkańcy miasta zaopatrują się w wodę ze studzien podwórzowych wprost na podwórzu, albo z rezerwoarów, umieszczanych na poddaszach, skąd woda rozprowadza się systemem rur po całym domu. Miast bez miejskiej sieci wodociągowej jest w Polsce bardzo dużo. Niema jednak ani jednego skupienia miejskiego tej wielkości, jak Łódź (600.000 mieszkańców), w którem ponadto byłyby umiejscowione kolosalne przedsiębiorstwa przemysłowe, potrzebującego ogromnych ilości wody. Te przedsiębiorstwa czerpią wodę ze studzien artezyjskich, których głębokość dochodzi do 1000 mtr. Dookoła takiej studni, w promieniu kilkudziesięciu a nawet kilkuset mtr., powstają leje niskiego poziomu wód ziemnych, skutkiem czego domy, położone w okolicy tych głębokich studzien, muszą czerpać wodę ze znacznie głębszych pokładów geologicznych, niżby to było potrzebne, gdyby studnie przemysłowe nie obniżyły tak bardzo poziomu wód. Nie piszę tego poto, aby stawiać zarzut przemysłowi, bo bez niego nie byłoby Łodzi, lecz

poto tylko, aby wykazać jeszcze jeden warunek, podnoszący koszta utrzymania domu.

W owych 188 zbadanych domach znalazły się zaledwie 3 małe domki, nieposiadające studni. Właściciele ich otrzymali nakazy wywiercenia artezyjskich studzien dla swych nielicznych lokatorów. Przeciętna głębokość studni w pozostałych domach wynosi 30 mtr. (jest to mniej więcej wysokość 7-miopiętrowej kamienicy), a najgłębsza studnia nie w Łodzi, lecz tylko w owych 188 zbadanych domach, wynosi 130 mtr.!! Nawet laik zrozumie, że czerpanie wody z takiej głębokości wymaga dużych kosztów. Koszta te wzrastają z roku na rok, ponieważ całe urządzenie studni, nieremontowane z braku dochodów przez czternaście lat, zużyło się doszczętnie; rury powydzierały się lub pordzewiały, tryby i łożyska zużyły się do niemożliwości. Jeszcze w normalnych warunkach, koszta dostarczenia wody były obciążone nietylko kosztami amortyzacji i oprocentowania tych pomp, lecz i perjodycznymi wkładami na pogłębianie studzien. A więc, gdy najbliższa lub nawet dalsza fabryka pogłębiała swoją studnię, poziom wód się obniżył i wszyscy sąsiedzi musieli pogłębiać studnie. A takie wiercenie otworu w skale wapiennej, do głębokości chociażby 50 mtr., kosztuje kilkaset złotych za każdy metr pogłębienia studni! To też spotykałem wypadki w owych badanych domach, że właściciel małego domu na przedmieściu musiał wydać na remont i pogłębienie swej studni przeszło 5.000 zł., gdy jednocześnie roczne komorne z jego posesji nie przekraczało tej sumy.

Władze magistrackie, w postaci Inspekcji Sanitarnej i Mieszkaniowej, nie wchodzą w sytuację takiego właściciela domu, lecz pod groźbą kar pieniężnych zmuszają owych robotników i rzemieślników, którzy popełnili karygodny czyn wybudowania domu z pieniędzy, uciułanych przez długie lata swej pracy w fabrykach, do wykonania tych remontów. Czasami jednak i kary nie pomagają. Mo-

gę z nazwiskiem i adresem przytoczyć taki np. obrazek rodzajowy.

Właściciel domu otrzymuje nakaz remontu. Niema pieniędzy, więc go nie wykonuje. Płaci sekwestratorowi 100 zł. kary. Nakaz się powtarza z tym samym skutkiem. Płaci 200 zł. kary; to samo trzeci raz. Orzeczenie karne opiewa na 300 zł. z zamianą na miesiąc aresztu. Nie miał już 300 zł., więc odsiedział ten miesiąc. Najpierw więc wywłaszcza się ludzi z lwiej części ich dochodu bez ekwiwalentu i bez odszkodowania, a potem nakłada się na nich kary lub nawet wrzuca do więzienia za to, że nie mają pieniędzy!!!

Po tych, dla znawców sprawy nieco może za obszernych wywodach, lecz koniecznych ze względu na to, że ogół nawet myślącej części społeczeństwa nie zna faktycznego stanu rzeczy, przejdę do zilustrowania tak zwanej eufemistycznie „rentowności" domów.

Otóż ogólny przychód (czyli t. zw. dochód brutto) z wszystkich zbadanych 188 domów wyniósł w roku 1929 — 588.116 zł. 60 gr., a rozchody z tych samych domów za ten sam czas — 726.375 zł. 32 gr. czyli, że rentowność tych domów wyraża się deficytem, wynoszącym w jednym tylko roku sumę 138.258 zł. 72 gr. Można sobie zadać trud i wyrazić ten deficyt w stosunku do „wartości" domu. Ponieważ jednak ekonomja nie zna pojęcia „negatywnej rentowności", przeto nie będę nużył czytelnika takiemi, mniej lub więcej efektownemi wyliczeniami.

Może któryś z czytelników wtrąci, że przecież właściciele domów zarobili na dewaluacji hipotek; że dzięki temu zmniejszyły się ich wydatki na opłacenie procentów od sum hipotecznych i że przeto ustawowe obliczenie komornego do 58% przedwojennego, licząc w dzisiejszych złotych obiegowych, jest w zupełności uzasadnione. Dla połowy

domów argument ten odpada, ponieważ według danych ankiety 48,7% zbadanych nieruchomości wogóle żadnych długów hipotecznych przed wojną nie posiadało.

Jak się przedstawia sprawa owych zysków dla drugiej kategorji domów, to jest takich, które miały obciążone hipoteki sumami z przed wojny światowej? Otóż na 97 domach ciążyło ogółem 689.508 rb. długów hipotecznych. Przyjmując przeciętne oprocentowanie (drobiazgowe badania stopy %% są w toku) tej sumy na 8%, musiały one rocznie płacić tytułem oprocentowania 55.160 rb. Ponieważ przedwojenny dochód z tych domów wynosił około 275.000 rb., przeto obsługa hipoteki pochłaniała przed wojną około 20% ogólnego wpływu z komornego. Gdyby więc nawet zanulowano całkowicie sumy hipoteczne, to zaoszczędziłoby to właścicielom tych domów tylko 20% wydatków. Możnaby zatem obniżyć komorne przedwojenne tylko o tę stawkę, zatrzymując je na poziomie 80% przedwojennego, pod warunkiem, że wszystkie inne wydatki, związane z utrzymaniem domu, nie uległy zmianie. Warunek ten oczywiście nie miał miejsca, ponieważ wszystkie ceny wzrosły, licząc nawet w złocie.

Jednak długów hipotecznych nie skreślono, lecz tylko zredukowano. Co do rozmiarów tej redukcji, istnieją błędne poglądy w społeczeństwie i dlatego postaram się o ich sprostowanie.

W myśl przepisów „lex Zoll“ powyższe 689.508 rb. zostało przerachowane na zł. 641.934 na dzień 1 stycznia 1925 r. Od tej daty, aż do 1-go stycznia 1928 r., trzeba było płacić procenty od wyżej wyliczonej sumy złotowej według stopy procentowej, umówionej jeszcze przed wojną, którą przyjęliśmy na 8%. Począwszy od 1-go stycznia 1928 r. suma staje się wymagalną. Dłużnik musi więc albo skonwertować dawną pożyczkę na nową, albo zgodzić się na opłacenie wyższych odsetek. W jednym i drugim wypadku będziemy bliżej prawdy, jeżeli przyjmiemy, że począwszy od roku 1928 płaci tytułem %% 12% rocznie.

Jeżeli jednak uprzytomnimy sobie wyżej przytoczone wyliczenia, według których komorne w latach od 1925—1929 włącznie wahało się, licząc w złotych obiegowych, w granicach od 25—58% i że wobec wielkich zaległości remontowych, powstałych w okresie od 1914—1925 r., cały dochód z domu trzeba było zużytkować na reperacje i remonty — to łatwo dojdziemy do wniosku, że ustawowo ograniczone wpływy z komornego absolutnie nie wystarczały na obsługę nawet zdewaluowanych hipotek i że tworzyły się zaległości z tytułu rat hipotecznych, które oczywiście trzeba będzie wcześniej czy później zapłacić. A ponieważ przychód z domu na to nie wystarczy nawet wtedy, gdyby komorne uległo pełnej waloryzacji, przeto trzeba będzie zaciągnąć nowe pożyczki na spłatę zdewaluowanych sum hipotecznych łącznie z zalegającemi ratami. Chcąc zatem wyliczyć faktyczną wysokość waloryzacji sum hipotecznych, należy jeszcze doliczyć procenty za lata 1925—1929. Licząc po 8% za pierwsze trzy lata, a po 12% za dwa następne, otrzymamy 48%. Wzrośnie ona zatem do 949.061 zł. czyli do rb. 207.672, licząc jednego rb. — 4.57 zł. dzisiejszych. Zatem hipoteki zostały u nas faktycznie zwaloryzowane w stosunku 30% w złocie.

Przy całem tem obliczeniu nie uwzględniałem istnienia 100%-ej waloryzacji sum hipotecznych, objętych mianem „reszty szacunku". Narazie nie posiadam dokładnych danych, ile i jakie sumy, zahipotekowane na zbadanych domach, podpadną pod tę kategorję. Sądzę jednak, że licząc ostrożnie, od 5—10% sum będą stanowiły resztę szacunku, a tem samem będą podlegały kilkakrotnie wyższemu przerachowaniu. Jeżeli więc uwzględnimy jeszcze i ten moment, wtedy musimy stwierdzić, że waloryzacja hipotek została u nas dokonana w stosunku jakichś 33% w złocie.

Ujmując rzecz z punktu widzenia naukowego, należy przyjąć jeszcze o kilkadziesiąt procent wyższą waloryza-

cję, ponieważ cały ten rachunek wychodzi z założenia, że przed wojną i dziś istnieje jednakowy współczynnik kapitalizacyjny, czemu w jaskrawy sposób przeczy fakt istnienia na dzisiejszym rynku kapitałowym znacznie wyższej stopy procentowej, niż przed wojną światową. Są to jednak subtelności akademickie, któremi nie będę nużył czytelnika i to tem bardziej, że omówiłem je już w innem miejscu *).

Niektórym czytelnikom wyda się może niesłusznem, że do sumy, zwaloryzowanej na dzień 1 stycznia 1925 r., doliczam jeszcze odsetki za następne pięciolecie. Jednak na takiem samem stanowisku stanął niemiecki prawodawca, wychodząc z założenia, że skoro ogranicza się ustawowo komorne, to również należy ograniczyć stopę procentową hipotek. W Niemczech ograniczono też odsetki od zdewaluowanych hipotek w sposób następujący:

za czas od 1.1.1925	—	1.7.1925	—	na 1,2%
„ „ „ 1.7. „	—	31.12. „	—	„ 2,5%
„ „ „ 1.1.1926	—	31.12.1927	—	„ 3%
„ „ „ 1.1.1928	—	1.1.1932	—	„ 5%

Jeżeli uwzględnimy, że na niemieckim rynku kredytu hipotecznego panuje przynajmniej 10%-owa stopa, to dojdziemy do wniosku, że reglamentacja stopy procentowej dla sum hipotecznych poniżej stopy rynkowej jest ukrytem pomniejszeniem waloryzacji hipotek. Dlatego też moje postępowanie przy obliczaniu rzeczywistej waloryzacji hipotek uważam za zupełnie uzasadnione i to tem bardziej, że w Niemczech pozostaje właścicielowi domu p o p o t r ą c e n i u „H a u s m i e t s s t e u e r“ 72% p r z e d w o j e n n e g o k o m o r n e g o w z ł o c i e.

Jeżeli nawet przyjmiemy, że sumy hipoteczne, zabezpieczone na domach, zostały u nas zwaloryzowane na 33%

*) J. Schimmel, Projekty budowlane. Art. w II tomie Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego, Poznań 1930 r. Jako odbitka do nabycia w redakcji „Miasta Polskiego“, Warszawa, Zgoda 1.

w złocie, to przecież zawsze pozostanie zarzut, że jednak pozostałe 67% zarobili właściciele domów. I ten zarzut nie jest trafny, ponieważ domy, na skutek wymuszanych wojną i ustawą zaniedbań remontowych, o których mówiłem wyżej, uległy takiej deterjoryzacji technicznej, że przywrócenie domów do znośnego stanu technicznego pochłonie znacznie więcej pieniędzy, niż stanowią owe 67% rzekomo zarobionych kwot na dewaluacji.

Wierzyciel hipoteczny stracił bezwątpienia znaczną część swego majątku. Ale kwoty tej nie zarobił właściciel domu. Zarobił jedynie lokator i to tylko ten, który posiadał mieszkanie „na własność"; zarobił dzięki temu, że ustawa o ochronie lokatorów pozwoliła mu na prowadzenie rabunkowej gospodarki na cudzej własności. Ofiarami tej destrukcyjnej polityki mieszkaniowej, umniejszającej substancję majątku narodowego, padli zarówno właściciele domów, jak i właściciele sum hipotecznych, przyczem sytuacja właścicieli domów — przynajmniej w Łodzi — jest wbrew powszechnej opinji dzisiaj gorsza od położenia wierzycieli. Ci ostatni mają bowiem przynajmniej ułamek swych dawniejszych dochodów, gdy właściciele domów nietylko, że nic nie mają, ale jeszcze dokładają i przez długie lata będą dokładać do swych ruder pod grozą kar i aresztu.

Właściciele hipotek zostali tylko wywłaszczeni z lwiej części swego majątku. Właściciele domów zostali wywłaszczeni w jeszcze większej mierze, a ponadto obarczo-

no ich serwitutami publiczno-prawnymi na rzecz lokatorów, często lepiej od nich sytuowanych. W ankiecie umieściłem specjalną rubrykę, w której chciałem uchwycić liczbowo owe stopniowe rozpadanie się domów podmiejskich. Zatytułowałem ją „Potrzeby remontowe". Narazie spisano te potrzeby według ustnych zeznań właścicieli domów, mogą zatem uchodzić za przesadzone. Zostaną one sprawdzone przez specjalne komisje szacunkowe rzeczoznawców (rzemieślników budowlanych). Ponieważ jednak protokularne ujęcie tych szacunków potrwa jeszcze szereg tygodni, przeto zdecydowałem się zużytkować je narazie w takiej postaci, w jakiej zostały uchwycone. Jestem jednak zdania, że szczegółowe badanie przez ekspertów wykaże znacznie większe zaległości remontowe, niż te, które zakomunikowano mi, ponieważ po pierwsze, właściciele domów obawiają się Inspekcji Mieszkaniowej i dlatego raczej umniejszali konieczne remonty, a po drugie, ponieważ mówili z pamięci, skutkiem czego cały szereg szczegółów mogli zapomnieć. Jednak już te, mojem zdaniem zbyt nisko oszacowane, zaległości remontowe są w swej wysokości zatrważające. Otóż przypuszczalny koszt remontów 182 domów (6 domów zostało już wcześniej odremontowanych) wyniesie 1,205.123 zł., czyli pochłonie pełny dwuletni czynsz; a ponieważ nigdy całego czynszu na remont użyć nie można, tylko stosunkowo niewielką jego część, przeto remont tych domów będzie trwał przynajmniej 10 lat, o ile wpływy z komornego na to pozwolą. Ten miljon dwieście tysięcy złotych zaległości remontowych przedstawia owe straty wierzycieli hipotecznych.

Stwierdzam:

1) że nasza polityka mieszkaniowa, utrzymująca z uporem komorne na poziomie 58% komornego przedwojennego, jest polityką rabunkową, prowadzącą w swych konsekwencjach do stopniowej destrukcji domów. Pro-

ces ten zaznaczył się już najwyraźniej na domach peryferji łódzkiej i bez wątpienia zaznacza się również w innych większych i mniejszych miastach Rzeczypospolitej;

2) że wydatne podwyższenie komornego nie jest dziś kwestją powiększenia dochodów właścicieli domów, lecz warunkiem uratowania tych domów podmiejskich — a one stanowią ogromną większość wszystkich domów — od zagłady technicznej, jaka im dziś zagraża. Wszystkie wpływy z waloryzacji komornego, która wcześniej czy później nastąpi, zostaną przeznaczone — chociażby ustawowo — na ratowanie tych domów od zagłady, od zniszczenia, od rozpadania i zawalania się w gruzy. Gdyby te remonty finansowo zostały umożliwione, wtedy ogromna armja robotników i rzemieślników znalazłaby zatrudnienie, a skarb państwa zostałby poważnie odciążony z dopłat do funduszu bezrobocia. Dziś mamy taki paradoksalny stan, że z jednej strony przestarzała ustawa uniemożliwia dokonywanie remontów i napraw, a z drugiej strony utrzymujemy z funduszu bezrobocia całą armję ludzi bezczynnych, wydając ich na łup komunistycznej agitacji.

Przy remontach domów zawsze pracował duży odłam robotników i rzemieślników. Dziś, wobec tych ogromnych zaległości, ilość robotników przy tych naprawach byłaby znacznie większa od ilości robotników, zatrudnionych przy wznoszeniu nowych domów. Przecież Bank Gospodarstwa Krajowego nie będzie chciał, ani mógł finansować każdy gwóźdź i każdą deskę. Te rzeczy trzeba pozostawić właścicielom domów zagrożonych.

Przecież nawet polscy socjaliści wiedzą coś niecoś o „kosztach reprodukcji kapitału", które cena musi obejmować w każdym ustroju społeczno-gospodarczym. Jeżeli dzisiejsze ustawowe komorne nie pokrywa nawet ułamku tych kosztów reprodukcji kapitału, tkwiącego w domu, to domy w myśl ich doktryny — wyjątkowo tutaj trafnej — muszą ulec stopniowej destrukcji. Najpierw oczywiście porozpadają się domy mniej solidnie budowane, domy na

peryferjach naszych miast, przeważnie zamieszkane przez robotników i ludzi ubogich.

Zapytuję: czy nasi socjaliści zdają sobie z tego sprawę, że ich polityka mieszkaniowa godzi przedewszystkiem w warstwę robotniczą, pozbawiając ją dachu nad głową, tę warstwę, o którą socjalizm walczy z taką bombastyczną i nierzeczową emfazą?

Jeszcze dwa lub trzy lata takiej polityki mieszkaniowej, jaką uprawialiśmy i uprawiamy dotąd, a dyskusja w przyszłości nie będzie się obracała dokoła budowy nowych domów, lecz dokoła ratowania starych.

W umysłach niektórych czytelników wywody te będą miały może posmak przejaskrawienia i tendencyjnej sensacyjności. Ale taki sposób reagowania na pierwszorzędne zagadnienia ekonomiczne, do jakich bezsprzecznie należy zaliczyć sprawę mieszkaniową, świadczyłby o zupełnym braku umiejętności rozumowania kategorjami społeczno-gospodarczemi.

Jak w wielu innych kwestjach, społeczeństwo nasze nawiązywało do smutnej tradycji XVIII wieku, gdy wadliwa i nierozsądna polityka wobec miast, wypływająca niegdyś ze skrajnego egoizmu jednej tylko warstwy, doprowadziła miasta do nędzy i upadku gospodarczego, po którym przyszedł upadek polityczny państwa.

Mimowoli przychodzą na myśl patetyczne wyrzuty W. Surowieckiego „O upadku miast w Polsce“ *): „Czemuż tam, gdzie ongi w ludnych osadach miast panowało życie, wesołość i dostatek, czołga się dziś smutek, nędza i śmierć wybladła? Okazałe zabytki dawnego ich przepychu leżą teraz w okropnych zwaliskach, zasłane brudami i wiecznym barłogiem. . .“ (str. 9). „. . .Nędzne chaty, klecone z uratowanych szczątków przedwiecznych zapa-

---

*) Warszawa, 1810 r., w Drukarni Księży Pijarów.

sów, zastępują teraz miejsca okazałych i chędogich niegdyś domów. . .“ (str. 10).

Oto perspektywa, która nam zagraża i do której konsekwentnie zdążamy!

W taki stan, w jakim znajdują się domy na przedmieściach Łodzi, pogrążyły się — z większemi lub mniejszemi odchyleniami — prawie wszystkie domy podmiejskie naszych większych i średnich miast. Sądząc z notatek prasowych, sytuacja na peryferji Warszawy, zdaje się, nie jest lepsza.

A nie jest to błaha sprawa. W domach miejskich całej Polski utkwił kapitał, wynoszący około 10 miljardów złotych. Znaczna część tej sumy została już zniszczona przez naszą wadliwą politykę mieszkaniową, uniemożliwiającą należytą konserwację nieruchomości, jak to wykazałem na przykładzie Łodzi. Lecz nie wszystko jest stracone. Dużo jeszcze da się naprawić, odremontować, wyrestaurować, słowem — uratować przed zniszczeniem. Trzeba tylko zdecydować się na racjonalną politykę mieszkaniową, wolną od demagogji i znachorstwa ekonomicznego. Temu zadaniu władze państwowe nie będą mogły podołać bez pomocy znawców stosunków mieszkaniowych i budowlanych; i to tem bardziej, że jest to dziedzina w literaturze naukowej u nas zupełnie zaniedbana. Z drugiej strony organizacje prywatne właścicieli domów są za słabe i zbyt znękane, zbyt steroryzowane 10-letnią naganką społeczeństwa, aby mogły choć w drobnej mierze sprostać temu ogromowi zadań i badań, jakie trzeba spełnić, aby naszą politykę mieszkaniową naprowadzić na tory racjonalnej gospodarki. Zresztą małe prowincjonalne, zapadłe miasteczka wogóle żadnych organizacji, skupiających interesy własności nieruchomej, dotychczas nie posiadają.

Wobec ogromnej doniosłości sprawy, wobec niebezpieczeństwa, już bezpośrednio i zblizka zagrażającego istnieniu ogromnych wartości, jest kategorycznym nakazem chwili utworzenie jak najszybciej publiczno-prawnej organizacji, którąby współdziałała z rządem w jego zabiegach, zmierzających do uzdrowienia stosunków mieszkaniowych. Jeżeli rzemiosło, które operuje znacznie mniejszymi kapitałami, którego istnienie nie jest do tego stopnia zagrożone, jak domy, posiada swoją oficjalną reprezentację w postaci Izb Rzemieślniczych, to utworzenie Izb Własności Nieruchomej, wzorem Hiszpanji i Italji, jest imperatywnym postulatem chwili bieżącej i dalszej.

Jerzy Schimmel
Poseł na Sejm.

TOWAR DLA KONSUMENTA, CZY KONSUMENT DLA TOWARU?

LIST OTWARTY.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wiem, że Pan Redaktor nie lubi artykułów anonimowych na łamach Swego pisma. I ja również, ogółem biorąc, nie lubię anonimowo pracować. Jeżeli jednak w tym specjalnym wypadku pozwalam sobie prosić usilnie o niezamieszczanie mego podpisu pod tym listem otwartym, to jedynie dlatego, że sfery, które tu „atakuję“, a do których należę, rozszarpałyby mnie żywcem jako — zdrajcę!

Pański artykuł w IX tomie „Naszej Przyszłości“ o „Prymitywizacji życia gospodarczego“ oraz obie konferencje, jakie odbyły się na ten temat z Pańskiej inicjatywy, z udziałem łącznie kilkudziesięciu przyjaciół tego pisma, dały mi jednak dużo do myślenia. A to już niepowszedni rezultat w dzisiejszych czasach, gdzie myślenie wogóle nie jest w modzie i gdzie komórki mózgowe, przeznaczone w normalnych warunkach dla „samodzielnej refleksji i inicjatywy“, są u jednych w wysokim stopniu zakostniałe, u drugich zaś skarłowaciałe wskutek „nawału innych zajęć“.

Otóż zacząłem myśleć i w pierwszej chwili „ustosunkowałem się“ opozycyjnie do całej sprawy „dostosowania się produkcji do istotnych potrzeb konsumcji“, gdyż mentalność moja, jako przemysłowca, hodowała się od paru dziesiątków lat w atmosferze wprost przeciwnej: imperatywu dostosowywania się konsumcji do wymagań i pretensji producentów.

Stąd w pierwszej chwili spostrzegłem w Panu wroga.

Ale w następnej chwili, rozważając moje ciężkie dzisiaj położenie, w porównaniu z dawniejszym stanem mego przedsiębiorstwa i zdobywszy się na wymagane przez Pana Redaktora, a tak dla mnie niewygodne spojrzenie w przyszłość — zacząłem poddawać ten mój początkowo wrogi stosunek do Pana i Jego przyjaciół pewnej objektywnej rewizji.

A przewrót ten wywołała w mej „skomercjalizowanej" mentalności przedewszystkiem reminiscencja pewnego staropolskiego przysłowia. Przepraszam za cytowanie go na łamach tak poważnego pisma, ale sądzę, że więcej ono w tej sprawie powie, niż wielotomowe rozprawy ekonomiczne. Otóż przysłowie to brzmi: „Nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa!"

Z tego przysłowia, chłopskim dyktowanego rozumem, wypływa dla naszego problemu jasny i oczywisty wniosek: Nie zdolność nabywcza konsumenta może się dostosować do skonsumowania dowolnie wyprodukowanej ilości towaru, ale przeciwnie, produkcja przemysłowa i rolna musi się dostosować do siły konsumcji w każdym danym okresie. A gdy siła konsumcji na dłuższy czas — jak obecnie — osłabnie, to koniec końcem musi się rozmach produkcji odpowiednio ograniczyć i zwolnić nieco swe tempo perfekcji technicznej.

Dlatego zmuszony jestem — choć mi to bardzo niemiło — przyznać słuszność twierdzeniom, wypowiadanym na wspomnianych konferencjach „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości", że nie pretensje producentów mogą być tą stałą wytyczną, do której wszystko w kraju musi się dostosowywać, naginać i wyczerpywać, ale taką wytyczną może być oczywiście tylko zdolność konsumcyjna kraju, a wszystko, co ponad nią jest lub ma być produkowane, wytwarza stan szkodliwej nadprodukcji.

Wyrażenie więc „podkonsumcja", ulubione dziś w ustach naszych ekonomistów i przedstawicieli sfer gospodarczych, okazuje się — przy bliższem zbadaniu —

narkotyzującą fikcją, gdyż panuje w istocie stan faktycznej lub potencjalnej nadprodukcji.

Uprzytomnienie sobie tego oczywistego stanu rzeczy i zarzucenie haseł „radykalizmu produkcyjnego", który słusznie porównuje Pan ze szkodliwością radykalizmu politycznego, może dopiero stworzyć dla naszej produkcji przemysłowej i rolnej podstawę do wyjścia z obecnego niszczącego impasu. Jak długo rolnicy, przemysłowcy i kupcy upierać się będą w swych nierealnych, bo niemożliwych do ziszczenia pretensjach utrzymywania par force produkcji na niedawnym, czy nawet przedwojennym poziomie najlepszych lat i przy niemniej nierealnych żądaniach takiego bogacenia się konsumenta, aby mimo wszystko całość tej produkcji mógł zakupywać, choćby na weksle — dopóty nie widzę istotnie nietylko wyjścia z impasu, ale nawet możności... rozumnej dyskusji o środkach załagodzenia kryzysu.

W okresie niebywałego od niepamiętnych czasów spadku linji konjunkturalnej żyjemy, rzec można, w atmosferze jakiejś „dyktatury produkcji", która ma konsumentom za złe, że nie są w stanie jej amerykańskich apetytów zadowolić. Ależ chcą, chcą, z największą satysfakcją! Tylko, że niestety nie stać ich na to! A wiadomo, że: wo nichts ist, da hat auch der... Produzent sein Recht verloren!

Polski rynek wewnętrzny skurczył się i osłabł ogromnie na czas niewątpliwie dość długi. Dzieciń每stwem byłoby wierzyć w jakieś nagłe poprawy sytuacji „wiosenne" lub „jesienne". Nawet jakaś większa pożyczka zagraniczna — trudna i tak do zdobycia z wielu względów — odrazu złemu nie zaradzi i to tembardziej, że z całą pewnością nie byłaby przeznaczona do bezpośredniego wzbogacenia konsumentów. Nie rozrzuca się dzisiaj już złota w tłum dobrym, starodawnym obyczajem, ale obraca je głównie — na cele „państwowe". A to wcale nie jest to samo. Przykładem ostatnia wielka pożyczka stabilizacyjna.

Przytem trezor naszego banku emisyjnego jest — w porównaniu do wielkości państwa — może najuboższym w Europie, nie dozwala więc na wypuszczenie takiej ilości banknotów, która byłaby w stanie zadość uczynić potrzebom naszego rynku. Z tem trzeba się liczyć, zwłaszcza w pretensjach „podniesienia zdolności konsumcyjnej“ społeczeństwa.

Pozostaje eksport. I tu warunki gospodarstwa polskiego znacznie się pogorszyły, poniekąd — na stałe. Skurczyły się bowiem dla państw europejskich dawne rynki zamorskie wogóle, nietylko wskutek różnych wypadków i nowych konfiguracji politycznych, ale przedewszystkiem wskutek ambicji wielu krajów kolonjalnych stwarzania u siebie także własnego przemysłu.

Gdzież więc możemy na serjo eksportować, my — kraj ubogi, którego nie stać nawet na porządne techniczne finansowanie eksportu i zakładanie odpowiednich agentur zagranicą, zdolnych do konkurowania z wytrawnymi agentami innych państw?

Dorywczo — tak, eksportujemy tu i ówdzie, często systemem premji i dumpingu, wyczerpując na to skarb państwa i siły podatkowe obywateli. Ale o eksporcie na serjo, w dawnych choćby rozmiarach, mowy być na razie nie może. Przychodzimy z naftą tam, gdzie jest pełno nafty, z cukrem tam, gdzie olbrzymi nadmiar cukru, ze zbożem tam, gdzie nie wiedzą, co z własnem zbożem zrobić, a z drzewem tam, gdzie inni z potężniejszą występują konkurencją. Tu i ówdzie, w węglu, żelazie lub cemencie, podtrzymujemy pewien eksport zapomocą różnych karteli czy innych konwencji, ale w ograniczonych oczywiście tylko rozmiarach. Często korzyść z tego niewielka, a nawet oczywista strata, gdyż zamiast zyskiwać na eksporcie, musimy płacić zań wysoką ceną wewnętrzną.

Wogóle, Szanowny Panie Redaktorze, pretensje naszej „dyktatury produkcji“ utrzymania się w nieproporcjonalnie wielkich rozmiarach — choćby nawet fikcyjnych —

za wszelką cenę, nawet za cenę bankructwa produkcji, przypominają mi pewien zabawny obrazek z „Fliegende Blätter“, ilustrujący przymus konsumenta nabywania i wykorzystywania wszystkich dobrodziejstw i płodów produkcji. Konsumenta, miotającego się rozpaczliwie w fotelu, do którego jest przywiązany, otacza natarczywy tłum producentów z wszelkich zawodów: krawiec bierze mu gwałtem miarę na spodnie, szewc na trzewiki, cukiernik wpycha mu w usta swe ciastka, muzyk dmie mu w ucho na wielkiej trąbie i t. d.

Czegoś podobnego wymaga od nas produkcja. Jesteśmy niegodni obywatele kraju, bo nie możemy opłacić jej wszystkich nawozów sztucznych i fordsonów i fabryk i niezliczonych firm handlowych i ciężarów publicznych, z całą tą olbrzymią maszynerją związanych! Powinniśmy przecież oddać ostatnią koszulę dla sztucznego podtrzymania wszelkich warsztatów przedwojennych i powojennych, choćby warsztaty te potem i tak miały zbankrutować, a ich właściciele znaleźć się na równi z konsumentami — bez koszuli!

A ponieważ „niepatrjotycznie“ usposobione społeczeństwo broni jednak tej ostatniej koszuli na swem ciele przed zakusami „dyktatury produkcyjnej“ i uczonemi tezami „wybitnych“ ekonomistów, dlatego produkcja, nie chcąc zrezygnować ze swego „rozmachu“, zwraca się do... Sowdepji!! Czego kraj nabyć nie może i czego przyjąć nie chce burżuazyjna zagranica, to „musimy“ sprzedać Sowietom.

Z jakąż to niekłamaną radością wita cała nasza prasa „patrjotyczna“, bez różnicy odcieni, każdą wiadomość choćby tylko o zamierzonym obstalunku bolszewickim dla naszego przemysłu! Wszak pieniądz nie... pachnie! Mogą tam sobie naiwni zwalczać „czerwonych katów“ w nieszkodliwych zebraniach i artykułach prasowych! Realizm gospodarczy nie może zwracać uwagi na takie „romantyzmy“. Kupiec jest kupcem i koniec, mniejsza o to, skąd pochodzi! Byle tylko płacił!

Otóż to — byle tylko płacił! Ale i przy tem nawet nie obstaje „rozmach" polskiej produkcji. Bo w kontraktach rezerwują sobie bolszewicy niekiedy możność płacenia „także i towarem".

No i oczywiście płacą nieraz towarem, bo szkoda dla takiej Polski marnować dolarów. I wzamian za nasze płótna, czy maszyny, przysyłają nam... zboże!!! To samo zboże, którego i tak już w kraju czy zagranicą zbyć nie możemy, nawet po absurdalnie niskiej cenie. Ale, słowo się rzekło, trzeba więc przyjąć zboże i puścić własnych, polskich agentów na kraj, aby — zbijali jeszcze bardziej wdół ceny pszenicy lub żyta! *).

Oto, do czego prowadzi „dyktatura produkcji", bezwarunkowo nadmiernej dla naszych skromnych warunków! I dlatego nabywam coraz więcej przekonania, że Panowie z „Naszej Przyszłości" macie jednak rację, a przynajmniej dużo racji, żądając pewnego zahamowania pretensji gospodarczych i dostosowania grobli do stawu. Od siebie dodaję nadto skromne żądanie „prymitywizacji zmysłu kupieckiego", który u nas w wielu wypadkach posługuje się nie owym legendarnym, solidnym „ołówkiem kalkulacyjnym", ale — fantazją.

„Cokolwiek czynisz, czyń mądrze i zważ na rezultat!" — powiada łacińskie przysłowie, nieznane widocznie, nawet w polskiem tłumaczeniu, naszym z dnia na dzień tylko spekulującym sferom producentów. Ale mam nadzieję, że rozumna refleksja przeważy w końcu w tych sferach nad ideologją doraźnej spekulacji i ma Pan słuszność, cytując w swym artykule już pewne wymowne w tym kierunku przykłady.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szczerego szacunku i poważania.

S... Ł...

---

*) Jak się dowiadujemy, rząd zahamował stanowczo te zakusy, które jednak zdołały lokalnie już dużo szkody wyrządzić. (Przyp. Red.).

NA MARGINESIE AKCJI ODDZIAŁYWANIA NA ZNIŻKĘ CEN.

Zjawiają się na arenie dyskusji publicznej pewne problemy ekonomiczne, które elektryzują nagle całą opinję i stają się osią najżywszego zainteresowania wszystkich grup społecznych. Powstają tendencje szukania w rozwiązaniu takich ujawnionych kwestji środków przeciw wszystkim udrękom i trudnościom dnia dzisiejszego, ba — dni jutrzejszych. Tworzą się złudzenia dokonywanych odkryć, budząc nadzieje, niewspółmiernie wysokie w porównaniu z rzeczywistą wartością tych odkryć.

Jednakże złudzenia szybko pryskają, rozbite na skałach twardej rzeczywistości, nadzieje zamieniają się w zakłopotanie, a sam problem niebawem znika z kręgu zainteresowań społecznych, pozostawiając za sobą, jako jedyny rezultat pozytywny — przypomnienie starych prawd, zaktualizowanych nową dozą doświadczenia.

Tak też stało się z wysuniętem u nas ostatnio, za przykładem zagranicy, zagadnieniem zniżki cen. Zaledwie parę miesięcy dzieli nas od chwili, kiedy pod wpływem hasła, rzuconego przez czynniki rządowe, rozgorzała dyskusja nad sprawą redukcji cen, jako środka doraźnej pomocy dla rolnictwa oraz opanowania kryzysu, a już zagadnienie to przestaje być właściwie zagadnieniem. Tak intensywnie je oświetlono, z taką pasją sprowokowanych dyskusji rozebrano je na najdrobniejsze elementy, a zarazem tak szybko i dowodnie przekonano się, jak groźne niebezpieczeństwa kryje w sobie narzucanie życiu gospodarczemu rozwiązań tej kwestji, że publicysta, który decyduje się pisać jeszcze o sprawie zniżki cen, naraża się nieomal na

zarzut banalności. Niemniej jednak sprawa jest sama przez się tak kapitalną, że jej echa nie powinny zbyt szybko zamilknąć. Spróbujemy wobec tego temat nasz ująć z punktu widzenia pewnych wskazań pozytywnych, wyprowadzonych na podstawie retrospektywnej oceny zagadnienia.

Rzucone hasło obniżki cen dla złagodzenia sytuacji rolnictwa i przyspieszenia likwidacji kryzysu (przez redukcję rozpięcia między cenami przemysłowemi i rolnemi oraz między hurtem i detalem, a także przez przeciwdziałanie rozpięciu między cenami krajowemi i zagranicznemi) uległo w ciągu swego kilkutygodniowego żywota dość radykalnym przeobrażeniom: od tendencji zewnętrznego oddziaływania w kierunku doraźnej, mechanicznej redukcji rzekomo zbyt sztywnych cen — do zasady koordynowania i przyspieszania automatycznie rozwijającego się procesu zniżkowego, oraz przekalkulowania całokształtu dotychczasowych metod produkcji i wymiany.

Równocześnie znacznemu złagodzeniu uległ pierwiastek demagogji, którą hasło to — jak każde zresztą hasło — niosło z sobą przez odwoływanie się, w zapowiedzianej akcji oddziaływania na ceny, do opinji społecznej oraz przez ujmowanie samego zagadnienia jednostronnie — od strony spożycia. Niemniej jednak w rzuconem haśle tkwiło i pozostało zasadnicze nieporozumienie, które też odbiło się na ogólnem nastawieniu całej akcji oddziaływania na zniżkę cen.

Niema i nie może być człowieka, jako tako orjentującego się w stosunkach i zagadnieniach gospodarczych, któryby w dzisiejszej sytuacji nie uznawał zniżki cen, jako naturalnej konieczności gospodarczej. Sprawa jest poza wszelkim sporem i z punktu widzenia interesów ogólnych i z punktu widzenia interesów rolnictwa. Rzecz w tem jednak, że jest to konieczność, która przynieść może jedynie korzyść przyszłości, a nie dobrodziejstwo dnia dzisiej-

szego. Problem postawiony został tak, jakgdyby zniżka cen miała być rzekomem lekarstwem, zabiegiem chirurgicznym, wobec przeżywanej choroby kryzysowej, gdy tymczasem jest ona tylko nieodzowną, a przytem ciężką i niebezpieczną fazą tej choroby — fazą, w której zresztą nasz organizm gospodarczy znajduje się już od dłuższego czasu. Wprawdzie powiedział ktoś, że rządowa akcja miała być takim zabiegiem lekarskim, który przez podniesienie i zaostrzenie stanu gorączkowego powinienby proces chorobowy przyspieszyć. Zapewne, stosowane są tego rodzaju środki leczenia, ale w takim razie — jakże to pogodzić z wysuniętą zasadą koordynowania i porządkowania samorzutnie odbywającego się procesu zniżkowego? Wyraźna sprzeczność! A przytem tego rodzaju zabiegi lekarskie znosić może z powodzeniem tylko organizm, posiadający pewien zapas sił. I tu przychodzimy do pierwszej, kapitalnej kwestji, którą wysuwa zainicjowane oddziaływanie na zniżkę cen — do kwestji rentowności i rezerw procesu gospodarczego w Polsce.

Czy organizm nasz jest na tyle zasobny, a w funkcjonowaniu swem na tyle rentowny, że można bez obawy głębokich i trwałych szkód dla jego zdrowia aplikować mu tak drastyczny środek leczniczy, jakim jest sztuczne zaostrzanie gorączki dla przyspieszenia przesilenia chorobowego? Innemi słowy — czy w naszych warunkach wysiłki w kierunku opanowania kryzysu zapomocą redukcji cen nie grożą najpoważniejszemi niebezpieczeństwami wywołania nowych trudności? Chory, po eksperymencie przyspieszenia przebiegu choroby, może znaleść się w stanie takiego wyczerpania, takiej anemji, że zabraknie mu sił na przetrzymanie okresu rekonwalescencji w stanie jakiej takiej odporności (naprzykład wobec zagranicznej konkurencji, której groźba ma być bodźcem do zniżania cen). Czy w naszych warunkach nie lepiej zatem dłużej i przewleklej przebywać załamanie kryzysowe za cenę możliwego chronienia choćby najniższej opłacalności produkcji i wymiany,

oraz najskromniejszych nawet zasobów kapitałowych gospodarstwa społecznego?

Staranne pielęgnowanie elementarnej podstawy gospodarki kapitalistycznej — zasady rentowności przedsiębiorstw prywatnych — tak nieśmiało jeszcze i zaledwie od niedawna postawionej w naszem życiu gospodarczem, musi być dla nas o wiele bardziej wiążącem przykazaniem w polityce cen, niż w innych państwach, ze względu na znane wyczerpanie kapitałowe kraju, stanowiące przecież dla naszego rozwoju gospodarczego oraz naszej konkurencyjności wobec zagranicy zaporę najcięższą i najgroźniejszą, bo wybiegającą całkowicie poza konjunkturalne przesilenia i trudności. Ostrożność jest i z tego względu niezbędna, że tak powszechny u nas brak zasobów i rezerw kapitałowych, a zatem środków na przetrzymywanie kurczących się obrotów, stanowi już sam z siebie naturalny bodziec, znakomicie zaostrzający działanie automatyzmu w redukcji cen, choć oczywiście kryje pod tym względem skromniejsze możliwości.

Zdaje się, że z tego stanowiska zagadnienie nie było dostatecznie rozważone; do przypuszczeń takich uprawnia fakt, że punktem wyjścia dla całej akcji oddziaływania na zniżkę cen był przecież poziom cen rolnych, a więc cen, możliwych dzisiaj do osiągnięcia w tym dziale życia gospodarczego, o którym notorycznie wiadomo, że pracuje daleko poniżej norm opłacalności.

Tymczasem sytuacja pod tym względem przedstawia się dziś w sposób naprawdę alarmujący, świadcząc o krańcowem wyczerpaniu finansowem całego życia gospodarczego. Dowodzi tego nietylko ilość upadłości i nadzorów, w cyfrach bezwzględnych bardzo wysoka, a w tempie i natężeniu wzrostu najwyższa w Europie *). Dowodzi tego

*) Dla Polski wskaźnik upadłości — 520, a następny z kolei dla Niemiec — 240 (przyjmując 1927 r. = 100).

przedewszystkiem fatalny stan wypłacalności, którego specyficznym i niestety coraz powszechniejszym wyrazem jest mało znany szerszej opinji publicznej system t. zw. prywatnych układów dłużnika z wierzycielami. Owe prywatne układy są typową konsekwencją obrotów, dokonywanych ze zbyt niskimi zarobkami, są dowodem zupełnego braku rezerw kapitałowych, zmuszających do gwałtownej walki konkurencyjnej o klijentów, czyli o *utrzymanie ruchu sprzedażnego niemal dosłownie za wszelką cenę, redukowaną już nie kosztem zysków, ale często wręcz na ślepo, byle zdobywać gotówkę.*

Taki układ stosunków zapewniać musi zaiste bardzo radykalne działanie automatyzmu gospodarczego w zakresie kształtowania się cen i nie trzeba dowodzić, jakie konsekwencje powoduje w tym względzie czynnik dodatkowej, zewnętrznej presji na ceny.

Kwestja obniżki cen jest w pierwszym rzędzie zagadnieniem rentowności i rezerw przedsiębiorstw. U nas jednak podejście do tej kwestji prowadziło znów przedewszystkiem od strony spożycia, od strony konsumenta — jakgdyby błędy dawniejsze nie stanowiły w tym względzie dostatecznej nauki. Znów mamy dowód, że *kwestja dochodowości i kapitalizacji wewnętrznej nie jest jeszcze podniesiona w Polsce do wysokości naczelnego problemu gospodarczego, który zawsze i wszędzie powinien decydować o nastawieniu naszej polityki ekonomicznej* i że w gruncie rzeczy tkwi w podświadomości, jeżeli już nie w świadomości zbiorowej przeświadczenie o pełnych kieszeniach producentów i kupców. I to jest pierwszy wniosek, który wyciągnąć trzeba z rządowej akcji obniżania cen.

Jak wyżej zaznaczono — celem, który ostatecznie został sformułowany dla akcji obniżania cen, miało być znormalizowanie i ujęcie w karby planowości naturalnego procesu zniżkowego, rozwijającego się według swej własnej dynamiki. Było to więc podjęcie próby interwencji państwa w dziedzinie przebiegu kryzysu gospodarczego dla przyspieszenia jego tempa, czyli przybliżenia momentu jego likwidacji według narzuconego planu działania.

Wejście na tę nową ścieżkę interwencjonizmu państwowego uwarunkowane być musiało z natury rzeczy daleko idącem uproszczeniem i teoretycznem uschematyzowaniem skomplikowanego zjawiska kształtowania się cen. Inaczej sprawa nie mogłaby być na tej płaszczyźnie rozwiązywana. Ujęto więc problem aktualnego ruchu cen mniejwięcej w sposób następujący: Spadek cen odbywa się i odbywać się będzie nadal automatycznie; o zahamowaniu i odwróceniu tego ruchu zadecyduje znalezienie wspólnego wykładnika dla siły nabywczej odbiorców i wartości sprzedażnej towarów. Kwestja więc sprowadzać się ma do antycypowania procesu nieuniknionego i do pewnego rodzaju dumpingowania rynku wewnętrznego za pomocą zniżania cen, przejściowo nawet niezależnie od kalkulacji i nawet p o n i ż e j k o s z t ó w w ł a s n y c h, co w następstwie zrekompensowane ma być na drodze wzmożenia popytu, wzrostu obrotów i zwiększonego zapotrzebowania u wytwórców; zmiany te pozwolą z kolei na przywrócenie zawieszonego chwilowo związku między ceną a kosztami własnymi.

Schemat powyższy przytaczamy jako dosadny wyraz urojonych założeń teoretycznych, przyjętych przez zwolenników likwidowania kryzysu na drodze interwencyjnej.

Przedewszystkiem uderza w schemacie tym całkowite pominięcie kapitalnej sprawy znacznych rezerw, bądź wysokiej rentowności, które stanowićby musiały nieodzowny

warunek przeprowadzenia tego rodzaju operacji bez katastrofy dla całego gospodarstwa *).

Następnie, dopuszczenie możliwości programowego zniżania cen poza granice kosztów własnych, co w ustroju kapitalistycznym — gdyby pod naciskiem jakichkolwiek czynników musiało nastąpić — musiałoby stać się źródłem krańcowego rozprzężenia gospodarczego, wyrazem ostatecznej klęski.

Z kolei, nieuzasadnione uzależnienie ruchu cen tylko od napięcia popytu, czyli wielkości siły nabywczej odbiorców; tymczasem działa tu przecież — nawet przy niezmienionych elementach kosztów własnych — szereg innych przyczyn, a w pierwszym rzędzie wpływ stanu zapasów towarowych; ich stopniowe wyczerpywanie, nawet przy niezmienionej sile nabywczej ludności, niesie z sobą zarodek ożywienia.

Wreszcie z gruntu błędne założenie istnienia jakiegoś automatycznego związku między wysokością ceny a natężeniem zbytu, co przyjąć można w formie niewątpliwej tylko wówczas, gdy zniżka cen miałaby być przeprowadzona... aż do skutku; stopień współzależności między tymi czynnikami może być płodem tylko przypuszczeń.

N i e z a w s z e i n i e k a ż d a z n i ż k a c e n y p o w o d u j e z w i ę k s z e n i e p o p y t u, dające pokrycie kosztów własnych (relatywny wzrost kosztów stałych!). Zniżka cen powoduje zwiększenie się przychodów przedsiębiorstwa tylko wtedy, gdy wywołuje proporcjonalnie znacznie silniejszy wzrost zapotrzebowania na dany towar od redukcji zarobku (brutto) na pojedyńczej sztuce tego towaru.

Poza tem wszystkiem zachodzi jeszcze pytanie, jak w realizowaniu przedstawionego wyżej schematu byłyby określane — co do czasu i poziomu — i jakiemi siłami

---

*) Brak zupełny tej kwestji w przytoczonym schemacie potwierdza jedynie nasz pierwszy wniosek, wyciągnięty z całej akcji oddziaływania na zniżkę cen.

utrzymywane granice, do których miałaby być doprowadzana zniżka cen, względnie od których miałaby być przywracana normalna kalkulacja ceny.

Na takie manowce dyskusyjne wprowadza nas rozważanie teoretycznych uzasadnień stanowiska zwolenników nowego kierunku interwencjonizmu państwowego. *Zagadnienie oddziaływania na zniżkę cen stało się jednak w ten sposób podłożem dla ogłoszenia nowych kanonów wiary ze strony zwolenników interwencji państwa w dziedzinie praw ekonomicznych.* I to jest drugi wniosek, który wyciągamy z rządowej akcji obniżania cen.

Zakwalifikowanie rozważanej akcji jako nowego przejawu interwencjonizmu państwowego stanowi jedyne wytłumaczenie tego niezwykłego faktu, że rząd, inicjując i forsując akcję oddziaływania na redukcję cen, stanął na stanowisku, iż państwu przypada w tym zakresie tylko rola mentora, kontrolera, wreszcie doradcy, ale nie rola czynnika, bezpośrednio współdziałającego w procesie redukowania cen, przyczem stanowisko to umotywowane zostało nie na podstawie przesłanek ostrożności, dyktowanej trudnościami budżetowemi, ale względami natury zasadniczej. Odnośne uzasadnienie opiera się na twierdzeniu, że obniżka cen nastąpić ma nie na rzecz skarbu państwa, lecz na rzecz wzmożenia i ożywienia obrotów gospodarczych i że w tych warunkach niemożliwe jest stawianie sprawy w ten sposób, iż za obniżkę cen rząd musi dać życiu gospodarczemu od siebie rekompensatę (?).

Czyżby stąd miało wynikać, że akcja redukowania cen nie jest ujmowana przez jej inicjatorów ze stanowiska interesu ogólnopaństwowego, który powinien być w tym wypadku wykładnikiem postępowania zarówno rządu, jak i sfer gospodarczych, lecz że stanowić ma źródło jakichś korzyści jednostronnych? Nieporozumienie, może najbardziej wyraziście ilustrujące odmienność podejścia do zagad-

nienia cen ze strony życia gospodarczego i ze strony inicjatorów akcji!

Jest rzeczą bezspornie stwierdzoną, że wobec powszechnego po wojnie zjawiska wzrostu obciążenia świadczeniami publicznemi na rzecz państwa, samorządów i ubezpieczeń społecznych, znacznie zwiększyły się i zesztywniały stałe koszty własne zarówno produkcji, jak i wymiany. Wyłączanie w tych warunkach możliwości jakichkolwiek zmian w zakresie świadczeń publicznych, a obok tego w zakresie opłat z tytułu usług, dawanych przez państwo i inne związki prawno-publiczne, zmniejsza bardzo poważnie możliwości obniżania cen w granicach równowagi kalkulacyjnej. Zatem — nie o rekompensatę tu chodzi, lecz o uwzględnienie jaknajwiększej liczby czynników, warunkujących kształtowanie się cen.

Inna sprawa, gdy przeciw postulatom powyższym wysuwane są argumenty, dyktowane względami budżetowymi państwa, sytuacją finansową związków prawno-publicznych i t. p. Tu dyskusja musi oczywiście stracić charakter pryncypialny, niemniej jednak samo zagadnienie — nawet przy postawieniu na tej płaszczyźnie — pozostaje otwarte, gdyż istnieją niewątpliwie kategorje świadczeń, których redukcji nie mogą przeszkadzać żadnę względy ogólne, jak naprzykład świadczenia socjalne; a nawet kwestja reformy podatkowej może być aktualną, o ile dotyczyłaby zmian, wchodzących w zakres struktury podatków, względnie — o ileby była przygotowywana naprzykład równocześnie z reformą administracji państwowej i samorządowej, traktowaną pod kątem usprawnienia i potanienia.

Niemniej wszakże, bez względu na punkt widzenia w ujmowaniu sprawy redukcji świadczeń publicznych, jako środka upowszechnienia i pogłębienia procesu obniżania cen — stwierdzić należy, że inicjatorzy akcji oddziaływania na spadek cen środek ten wyłączyli i stanęli na stanowisku, że cały proces tanienia powinien odbywać się bez udziału państwa i kosztem wysiłku wyłącznie sfer gospo-

darczych. Taki jest trzeci wniosek, wynikający z retrospektywnych rozważań rządowej akcji obniżania cen.

Jest jeszcze jedna strona zagadnienia, nasuwająca obserwacje i wnioski natury zasadniczej. Akcja, zainicjowana hasłem przyspieszania i pogłębienia zniżki cen, zrodzić się musiała z przeświadczenia rządu o ich niedostatecznym, samorzutnym ruchu zniżkowym; to przeświadczenie zaś musiało mieć oparcie w odpowiednich obserwacjach cyfrowych — i istotnie miało je w datach statystycznych Głównego Urzędu Statystycznego. Tu powstała pozorna zagadka: okazało się, że daty G. U. S. bardzo znacznie odbiegały od stosunków rzeczywistych. Zdemaskowanie tej zagadki obciążyło: 1) G. U. S. — z powodu szeregu poważnych błędów, popełnianych przy ustalaniu podstaw cyfrowych wskaźników, a zwłaszcza wskaźnika cen detalicznych, 2) inicjatorów akcji — z powodu użycia wskaźników i dat G. U. S. dla celów niewłaściwych, dla których one w żadnym razie użyte być nie mogły ze względu na swój charakter zasadniczy, oraz wobec wyżej wyznaczonych błędów, popełnianych przez G. U. S.; wreszcie 3) sfery gospodarcze — z powodu wysoce niedbałego udzielania G. U. S. materjałów, dotyczących wysokości i ruchu cen, gdy tymczasem wartość tych materjałów wręcz decyduje o prawdziwości wskaźników.

W ten sposób upadły podstawy cyfrowe, przyjęte dla zainicjowanej przez czynniki rządowe akcji, a zarazem powstało nowe, bardzo silne uzasadnienie dla teoretyczności i nieżyciowości całej akcji. Nie bez głębokiej goryczy trzeba stwierdzić w związku z tem raz jeszcze bardzo znaczne oddalenie naszej administracji państwowej i t. zw. czynników miarodajnych od nurtu, biegu i faktycznych stosunków naszego życia gospodarczego. Czy istotnie niema sposobów i środków na stopniowe chociażby redukowanie tego oddalenia? Jakże wielkie korzyści mogłyby płynąć z drobnych chociażby reform w tym zakresie — dla interesów całego państwa!

Niestety, jak dotychczas, nie wynaleziono jeszcze na świecie żadnego źródła na odbiurokratyzowanie biurokracji!

Tak wyglądałyby największe cienie rządowej akcji oddziaływania na zniżkę cen, ujęte w perspektywie zamykającej się dyskusji.

Jej rezultaty doraźne? Nie sądzę, by pozytywne znaczenie całej akcji mogło być mierzone zniżką cen, która nastąpiła w ostatnich kilku tygodniach. Zbyt wiele nasuwa się w tym względzie wątpliwości i zastrzeżeń, a nawet wręcz ujemnych wniosków. Biorąc pod uwagę kształtowanie się cen, zarówno zresztą hurtowych, jak i detalicznych, w końcu ubiegłego roku, rzeczywiste (nie wskaźnikowe) tempo ich spadku, pogłębienie dekonjunktury, załamanie wypłacalności, zaostrzenie stosunków konkurencyjnych i tyle, tyle innych czynników, wpływających na ruch cen, stwierdzić można z zupełnem prawdopodobieństwem, że obserwowany ostatnio spadek cen byłby zanotowany również i bez inicjatywy interwencyjnej czynników rządowych, z wyjątkiem może produkcji skartelizowanej: nafta, węgiel, żelazo, cement — i państwowej: nawozy sztuczne, gdzie niewielka zresztą i niemal nie mająca praktycznego znaczenia redukcja cen nastąpiła naskutek wyraźnego nacisku inicjatorów akcji interwencyjnej; ale w tych działach odnośny nacisk mógł być przecież dokonany i bez wszczynania całej akcji na rzecz obniżania cen. Że ruch cen z ostatnich tygodni nie był wynikiem nacisku zewnętrznego, lecz że kształtował się pod wpływem czynników naturalnych — świadczy o tem wymownie fakt, iż tam, gdzie wspomniane czynniki naturalne tego wymagały, ceny w tymże samym okresie zmieniły kierunek swego ruchu i wykazały wyraźną tendencję zwyżkową, bez względu na wolę i założenia kierowników i zwolenników rządowej akcji interwencyjnej (ceny w handlu, niektórych surowców, oraz produktów mleczarskich i mięsnych).

Że zaś tam, gdzie ceny stosunkowo znacznie spadły w ostatnim okresie, niema bynajmniej podstaw do zadowo-

lenia i wyciągania wniosków co do pożyteczności akcji rządowej, świadczy o tem aż nadto wymownie sytuacja przemysłu i handlu włókienniczego, gdzie proces spadku cen przekroczył już nietyle granice opłacalności, ale wręcz — wypłacalności.

Sytuacja w tym tak poważnym dziale naszego gospodarstwa jest zarazem bardzo przekonywującym dowodem słuszności stanowiska tych, którzy wskazywali na możliwości t. zw. strajku odbiorców, jako wyniku akcji rządowej. Nie będę powtarzał na tem miejscu znanych już dobrze argumentów, wykazujących, że nadanie całej akcji charakteru zapowiedzi zniżek, połączonej z odwołaniem się w tym względzie do odbiorców, musiało wywołać w społeczeństwie nadzieje i oczekiwania jakiejś wielkiej i powszechnej fali zniżkowej, musiało doprowadzić do strajku w zakupach zarówno ze strony konsumentów, jak i nawet ze strony wielu kupców, przynosząc ze sobą niebezpieczeństwa ogromnego rozpięcia między nadmiernie rozbudzonemi propagandą nadziejami a realnemi i z punktu widzenia gospodarczego uzasadnionemi, a nawęt wręcz pożądanemi możliwościami. Zjawisko to, ze stanowiska psychologicznego aż nadto uzasadnione, znalazło w życiu szybkie i silniejsze, niż nawet można było oczekiwać, uzasadnienie. Zmarnowanie w znacznym stopniu sezonu wiosennego w produkcji włókienniczej i zaostrzenie do granic wręcz niebywałych stagnacji międzysezonowej w handlu włókienniczym — stanowią już same przez się wystarczający w tym względzie argument.

Przeciwnikom tezy, że akcja rządowa musiała doprowadzić do strajku konsumentów, dowodzącym, iż strajk ten mógłby wytworzyć się, niezależnie od jakiejkolwiek akcji, pod wpływem samorzutnie rozwijającego się spadku cen, należy jeszcze odpowiedzieć, że właśnie samorzutność spadku cen — w przeciwieństwie do planowości tego spadku — nie zmobilizowałaby opinji publicznej: taniość sta-

wałaby się faktem dokonanym (i reklamowanym) bez zapowiadania i uprzedzania, że nastąpi.

Takie i inne jeszcze zastrzeżenia trzebaby wysunąć, gdyby podjęta przez rząd akcja oddziaływania na ceny miała być oceniana z punktu widzenia jej dotychczasowych, doraźnych wyników. Zastrzeżenia te prowadzić musiałyby w sumie do oceny akcji ujemnej.

Rzecz charakterystyczna jednak, że pozytywnej oceny akcji nie można również ustalić ze stanowiska tych, w imię interesu których owe doraźne rezultaty w zakresie zniżki cen miałyby być osiągnięte — ze stanowiska, zajętego przez rolnictwo. Według opinji, którą można wyprowadzić na podstawie szeregu autorytatywnych poglądów, wypowiedzianych w dyskusji publicznej o zniżce cen ze strony sfer rolniczych, zniżka cen na artykuły przemysłowe, oczywiście ze wszech miar pożądana i z punktu widzenia ogólnego i jako środek pomocy dla ludności rolniczej — nie może być uważana w dzisiejszym stanie krańcowego wyczerpania finansowego całego rolnictwa jako skuteczny i wystarczający, a więc właściwy środek walki z kryzysem rolnym, dla którego opanowania miarodajnem może być w pierwszym rzędzie rozwiązanie problemu kredytowego i podniesienie rentowności produkcji rolnej.

Kierownik referatu ekonomicznego Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, p. dr. Wacław Borowski, wypowiada pogląd następujący:

„Czy ogół rolników, pracujących od paru lat z wyraźnym deficytem, spowodowanym katastrofalną zniżką cen artykułów gospodarstwa wiejskiego, będzie nabywał nawozy sztuczne, maszyny, ubrania i inne wytwory przemysłowe w tej samej ilości, co w latach korzystniejszego kształtowania się cen płodów rolnych? Odpowiedź na to musi być niewątpliwie negatywna. Sednem bowiem całego współczesnego kryzysu gospodarczego Polski nie jest kwestja stosunku cen artykułów przemysłowych do cen produktów rolnych, lecz nierentowność gospodarki na roli,

spowodowana niezmiernie niskim poziomem cen płodów rolniczych. Stosunek bowiem cen obu grup towarów niczego jeszcze nie mówi. Można sobie wyobrazić, że gospodarka rolna, mimo dysproporcji między cenami rolnemi a przemysłowemi na niekorzyść tych pierwszych, może być zupełnie opłacalna; można sobie wyobrazić również zjawisko wprost przeciwne. Na koszty bowiem wytwórczości gospodarstwa wiejskiego składają się nietylko ceny artykułów przemysłowych, nabywanych z zewnątrz, lecz również koszty robocizny, oprocentowanie kredytów, wysokość świadczeń przymusowych i t. p. Jeżeli rolnik, z powodu wysoce niekorzystnych konjunktur dla swych wytworów, może ze sprzedaży płodów swego gospodarstwa uzyskać odpowiednie wpływy pieniężne na pokrycie zaledwie części wszystkich tych wydatków i z roku na rok narasta mu coraz większy deficyt w gospodarstwie, to żadne obniżki ceny produktów przemysłowych nie przyniosą mu istotnej ulgi. Dlatego też rolnictwo ratunku w swej sytuacji może szukać jedynie w podniesieniu cen gospodarstwa wiejskiego do granic opłacalności... W ten sposób dochodzimy do wniosku, że zniżka cen artykułów przemysłowych, jako doraźny środek walki z kryzysem rolniczym, jest środkiem zawodnym i nieprowadzącym do konkretnych rezultatów w tym względzie".

Podobnie brzmi opinja wice-dyrektora warszawskiej izby rolniczej, p. Witolda Kuczewskiego:

„Zarówno dotychczasowe doświadczenia Niemiec i Włoch, jak i dawniej dokonywane epizodyczne próby nie upoważniają do pokładania wielkich nadziei w możliwościach zniżki cen większej części artykułów przemysłowych. Nie jest atoli wyłączone, że w stosunku do niektórych, najważniejszych pod kątem interesów rolnictwa artykułów, zniżka ta mogłaby nastąpić. Dotyczy to przedewszystkiem cen na nawozy sztuczne oraz cen węgla, żelaza i stali, a w związku z tem cen na gotowe wyroby przemysłu narzędzi rolniczych. Oprócz tego okazać się może poży-

teczne skrupulatne zbadanie i ewentualne usunięcie przyczyn rozpiętości cen hurtowych i detalicznych niektórych artykułów spożywczych. Sądzić jednak należy, że — o ile chodzi o interesy rolnictwa — nawet całkowite powodzenie podjętej walki o zniżkę cen przemysłowych nie przyniesie ulgi dopóty, dopóki nie zostanie rozwiązane najbardziej palące zagadnienie obciążenia produkcji kosztami oprocentowania kapitału. Obok hasła zniżki cen przemysłowych, hasłem dnia winno być pozyskanie taniego kapitału, bez czego skuteczne obniżenie kosztów produkcji rolniczej, obciążonej olbrzymimi deficytami z lat ubiegłych, nie jest do pomyślenia".

Najbardziej jednak znamienną jest dla całej sprawy deklaracja prezesów izb przemysłowo-handlowych i rolniczych R. P. Deklaracja ta stanowi wyraz zjednoczenia całego frontu gospodarczego w obliczu ciężkich doświadczeń kryzysowych i dowód braku przeciwstawności, którą mimochodem tworzyła, względnie tworzyć mogła akcja oddziaływania na zniżkę cen przemysłowych, prowadzona pod kątem możliwego dostosowywania ich do poziomu cen rolniczych. Tego rodzaju dokument konsolidacji stanowiska sfer przemysłowo-handlowych i handlowo-finansowych ze stanowiskiem sfer rolniczych daje zarazem w pełni krytyczną ocenę wartości i celowości akcji oddziaływania na zniżkę cen. „Odbudowa zdolności nabywczej rolnictwa — czytamy w deklaracji — nie może nastąpić bezpośrednio po zwyżce cen na płody rolne, tem mniej zaś jest do osiągnięcia wyłącznie w drodze obniżania cen artykułów przemysłowych... Najważniejszym i najbardziej palącym problemem, którego rozstrzygnięcie stanowi podstawowy warunek odbudowy siły nabywczej rolnictwa, jest problem kredytowy... Równolegle z usiłowaniem rozwiązania najważniejszego problemu kredytowego, polityka gospodarcza państwa zmierzać winna nadal wszelkimi środkami ku przywróceniu rentowności przedsiębiorstw rolnych... Zniżka cen wyrobów przemysłowych leży w trwałym in-

teresie rolnictwa, o ile nie spowoduje takiego spadku rentowności produkcji przemysłowej i wymiany, któryby zmniejszył zdolność nabywczą szerokich mas ludności i zaostrzył sytuację skarbu państwa, a w wyniku ograniczył środki, przeznaczone przez państwo na przeciwdziałanie kryzysowi gospodarczemu".

Czy jednak o haśle, rzuconem przez rząd i o akcji, zainicjowanej w imię tego hasła, mogą być wydane istotnie tylko ujemne sądy i negatywne kwalifikacje?

Czy w tym wypadku niema zupełnie owej przysłowiowej „drugiej strony medalu"? Niewątpliwie jest! Tylko odnajduje się ją w zupełnie innem podejściu do całej sprawy.

O cenie decyduje, poza wszystkimi elementami kalkulacji, jak również polityki sprzedażnej przedsiębiorstw, jeszcze jeden czynnik, w zakres poprzednich (przynajmniej bezpośrednio) nie wchodzący: czynnik organizacji i sprawności, nietylko ten, który zwiększa produkcję i podaż, ale i ten, który warunkuje oszczędność i taniość. Przesilenie gospodarcze stanowi z natury rzeczy okres, szczególnie podatny do akcji organizacyjno-racjonalizacyjnej. Kryzys jest tym obuchem, pod uderzeniem którego każdy przedsiębiorca jest skłonny szukać grzechów własnych i szuka ich z całą gorliwością, nie dla sentymentu, ale pod naciskiem dekonjunktury. Ten naturalny proces organizacyjno-racjonalizacyjny jaknajsilniej pobudzić, jaknajwszechstronniej rozbudować, jaknajbardziej uzewnętrznić, uchwycić w pewne karby planowości (oczywiście nie narzuconej z zewnątrz, z góry, ale wywołanej wewnątrz samego życia gospodarczego) — to jest zadanie, które powinna mieć na względzie inicjatywa rządu; zadanie, ku któremu inicjatywę tę należy skierować i która z natury rzeczy musi w niej tkwić, do którego rozwiązywania we własnym zakresie powinny być powołane nietylko sfery gospodarcze, ale i państwo, zarówno jako administrator, jak i jako przedsiębiorca. Zadanie to odnajdziemy w rządowej akcji oddziały-

wania na obniżanie cen, o ile na miejsce hasła doraźnej zniżki oraz związanej z tem propagandy wśród konsumentów, postawimy hasło oddziaływania na obniżanie kosztów produkcji i wymiany, oraz odpowiednią propagandę pod adresem producentów, kupców, finansistów, no i... państwa; o ile zrezygnujemy z osiągania w ciągu paru tygodni urojonych efektów zniżkowych na rzecz intensywnej, lecz spokojnej, objektywnej i planowej pracy nad rewizją całego naszego procesu gospodarczego.

Rewizja tego rodzaju dotyczyć powinna zarówno samej techniki i organizacji tego procesu, aż do pojedyńczych jego komórek (przedsiębiorstw) włącznie, jak i istniejących dlań warunków polityki organizacyjno-gospodarczej państwa. Bez skontrolowania dziedziny drugiej nie da się rozwiązać definitywnie zagadnień z dziedziny pierwszej: bez zasadniczego ustosunkowania się do takich trzech zasadniczych kwestji, jak kartele przemysłowe, dumping eksportowy i wreszcie formy wymiany — trudne jest ustalenie programu racjonalizacji pod kątem usprawnienia i potanienia naszego procesu gospodarczego.

Prace nad zniżaniem cen, postawione na takiej płaszczyźnie, są oczywiście znacznie mniej wdzięcznym tematem do rozważań w publicznej dyskusji, przed forum opinji społecznej. Niemniej jednak usunięcie tych prac z debat publicznych nie jest absolutnie wskazane z tego zasadniczego względu, iż tak pomyślany generalny przegląd warunków polityczno-organizacyjnych i techniczno-organizacyjnych całego naszego procesu gospodarczego może naprawić i sprostować w opinji publicznej niejeden błąd lub niewłaściwy pogląd w ocenie przebiegu tego procesu.

Dziedziną, która pod tym względem jest terenem specjalnie wielu nieporozumień, a która zarazem szczególnie łatwo absorbuje opinję publiczną, jest handel oraz funkcje kupca. To też warunki i możliwości organizacyjno-racjonalizacyjne w tej dziedzinie powinny być przedewszyst-

kiem przedmiotem publicznej dyskusji i rzeczowych wyjaśnień.

Rzucone hasło zniżki cen sprawiło — z wolą czy bez woli jego autorów i inicjatorów — że w kształtowaniu cen zaczęto doszukiwać się klucza do rozwiązania tych rozlicznych niedomagań i trudności w naszem życiu gospodarczem, które wysunął i ujawnił przeżywany kryzys; zapomniano natomiast, że ceny są w danym razie tylko ową dziurką od klucza, przez którą oko obserwatora — i to jedynie wprawne oko — dojrzeć może mechanizm funkcjonowania procesu gospodarczego. Znalezienie klucza do owej dziurki pozwoliłoby niewątpliwie na naprawienie źle działającego mechanizmu. Trzeba jednak ten klucz znaleść. Szukajmy go w wielkim pęku kluczy — elementów i czynników, składających się na koszty własne produkcji i wymiany.

Józef Jakubowski
dyr. nacz. Rady Zrzeszeń
Kupiectwa Polskiego.

KRYZYS I ŻYCIE NAD STAN.

Niewątpliwie ciekawem zagadnieniem byłoby wniknięcie w prywatną gospodarkę obywateli państwa i zanalizowanie: o ile w poszczególnych grupach społecznych dostosowanie sfery potrzeb do wygospodarowywanych ilości dóbr stoi w stosunku rozsądnym i mającym przyszłość na oku? Mam tu oczywiście na myśli nie jakieś oderwane teorje i uogólnione wnioski, lecz każdorazowem położeniem podyktowany tryb uzgadniania rozchodów z osiągalnymi dochodami.

Ale nie to zagadnienie chciałem poruszyć, kreśląc tytuł. Życiem nad stan, które mam na myśli, jest życie państwa, tego najwyższego zespołu obywateli, na którego administrację łożą obywatele wymuszane od nich, a nałożone przez mechaniczną przewagę cyfrową reprezentacji obywatelskiej świadczenia i dla którego ponoszą olbrzymie ciężary. Utrzymanie takiej organizacji, przywiązanej do określonego terytorjum w określonej formie prawnej, kulturalnej i obyczajowej, wymaga nakładów, których minimum nie może zejść poniżej pewnej określonej wysokości. Określenie tego minimum zależy od ustalenia sumy niezbędnych do zaspokojenia potrzeb publicznych, jak: obrona kraju na zewnątrz, bezpieczeństwo wewnętrzne, wymiar sprawiedliwości, oświata i t. d.

Suma ta, której odpowiada budżet, zależna jest zarówno po stronie przychodów, jak i rozchodów, nietylko od spełniania zadań koniecznych, ale i od gospodarczego stanu kraju. Jeżeli zatem budżet przekracza powyżej określone minimum, t. zn. po zaspokojeniu najniezbędniejszych potrzeb przewiduje jeszcze wydatki, na których pokrycie sięga po świadczenia, gospodarczo nie usprawiedliwione, to

taki przejaw jest przejawem publicznego życia nad stan.

Polska jest jednem z państw, które żyją nad stan. Nie troszczmy się jednak o innych, a rozejrzyjmy się, jak to jest u nas.

Dość porównać ogólną sumę dochodu społecznego, uzyskaną z prywatnej gospodarki wszystkich pracujących obywateli państwa, z sumą około 5 miljardów wszystkich ciężarów publicznych, aby nie mieć żadnych wątpliwości, że prowadzimy — jako państwo — politykę bankruta.

Zarówno aparat administracyjny, jak i wszystkie te instytucje, które są utrzymywane przez ogół podatników względnie obciążonych, jako rzekomo niezbędne do prawidłowego funkcjonowania maszyny państwowej, są o wiele, wiele za „rozbudowane".

Polska ma nietylko za dużo urzędów i instytucji, ale ponadto w tych urzędach i instytucjach za dużo funkcjonarjuszy.

Powstało to stąd, że najpierw radosna twórczość demagogiczna tworzyła urzędy, instytucje i stanowiska, a potem dopiero szukano pokrycia w istniejących źródłach dochodu. Prostoduszny pasterz strzyże owcę z wełny, a za te użytki daje jej paszę i pomieszczenie. I podój i strzyża odbywa się w odpowiednich odstępach, nie za częstych, aby... owca nie zdechła. Jeszcze jednak nie słyszałem, aby owcę co 15 minut dojono, codzień golono i żeby za życia wykrawano z niej kawały mięsa!

Zapewne owca zginęłaby z wycieńczenia po paru dniach.

Polska jest większa od owcy i dlatego jeszcze dyszy, mimo, iż obywatelom jej wykrawa się podatek majątkowy i obrotowy, że się ich wygala ciężarami na rzecz związków komunalnych i instytucji opieki socjalnej, że nie mają tanich kredytów, swobody zarobkowania i schronienia przed „dobrodziejstwami" socjalnemi, rzekomo w ich interesie

ustanowionemi. Jeszcze „dyszy“, ale jest coraz gorzej i bodaj, że ostatni już czas, by podjąć środki celem zapobieżenia katastrofie.

Pomijam już okoliczność, że niektórzy „wielcy“ ekonomiści polscy usiłują rzucić ogółowi piaskiem w oczy twierdząc, że „u nas źle, bo jest kryzys światowy“ i że w ten uproszczony sposób chcą odwrócić uwagę od zupełnie bliskiego krajowego zła, które można usunąć niezależnie od kryzysu światowego, a wskażę tylko, że największe potęgi światowe, jak Anglja i Stany Zjednoczone, mają aparaty publiczne stosunkowo znacznie mniejsze, niżby to wynikało z obliczenia ogólnego dochodu społecznego tam a u nas. Czasownik „rozbudowywać“ wszedł w powszednie użycie w społeczeństwie polskiem po wojnie — a był niewątpliwie pożyteczny w dyskusjach, toczących się około rosnących, jak grzyby po deszczu, urzędów i instytucji publicznych.

Dzisiaj należałoby wyrażenie to zastąpić innem: „Wedle stawu grobla!“.

Krótko mówiąc, jak na 30-miljonowe państwo, o niewielkim dochodzie społecznym, niedużym kapitale zakładowym (ziemia, fabryki), a mikroskopijnym obrotowym (oszczędności bankowe, kredyt), mamy za duży aparat administracyjny i społeczny.

Bez uszczerbku dla siły obronnej państwa, dla wymiaru sprawiedliwości, bezpieczeństwa publicznego, oświaty, potrzeb komunikacyjnych i nadzoru nad życiem gospodarczem i społecznem, można ograniczyć zarówno ilość urzędów, jak i ilość osób, nie produkujących, lecz żyjących jako funkcjonarjusze publiczni z budżetu podatkowego, samorządowego, czy też instytucji społecznych. Zadanie nie jest łatwe, ale przecież możliwe do wykonania i to w czasie niezbyt długim. Ma się rozumieć, że to, co miałoby być wprowadzonem zamiast tego, co istnieje, musi być tak dobrem i wystarczającem, aby dobro publiczne nie ucierpiało.

Od szeregu już lat powołuje się do życia organa, któ-

re pod różnemi nazwami zajmują się gorliwie „organizacją“ i „reorganizacją“ (à propos: te dwa wyrażenia są także bardzo ulubione przez wielu domorosłych wynalazców, tych samych, którzy wprowadzili „rozbudowę“ zarówno w mowie, jak i w życiu, ku utrapieniu i bezpożytkowi publicznemu).

Organa te głowią się nad różnemi usprawnieniami i uproszczeniami. Niewątpliwie nie brak im nawet dobrej woli i niezłych pomysłów, wszystko to jednak obraca się w sferze zbyt ciasnej, aby podatnik odczuł kiedykolwiek skutki tych kosztownych prac i zabiegów. Położenie wymaga cięć chirurga, a nie kataplazmów. Najpierw trzeba ustalić, które urzędy i instytucje są niezbędne do prawidłowego funkcjonowania całego aparatu państwowego i społecznego, następnie rozdzielić pomiędzy nie wszelkie kompetencje i obowiązki, a w końcu obsadzić je przez dostateczny, lecz jak najszczuplejszy zespół doborowych urzędników. Okaże się ponad wszelką wątpliwość, że koszta takiej maszyny będą nieporównanie niższe. Na podstawie swych własnych obliczeń twierdzę, że wystarczający aparat administracyjny, lepiej na niższych stanowiskach wynagradzany, niż dzisiaj, kosztować będzie tylko około 60% tego, co dzisiaj.

Aby jednak dojść do takich rezultatów, nie można monopolizować prawa do pomysłów reorganizacyjnych dla żadnej grupy uprzywilejowanych, lecz ogłosić konkurs z nagrodami pieniężnemi, z ograniczeniem jedynie zakresu opracowań tematu. Ponieważ w konkursie takim przemówiłaby elita społeczna i moralna, można być pewnym, że zgłoszone projekty byłyby podyktowane lepszem poczuciem potrzeb dobra publicznego i lepszem znawstwem, aniżeli te projekty, które „stały się ciałem“, a których urzeczywistnienie jest powodem niesłychanych ciężarów, spoczywających na barkach podatników.

Dzisiejsza machina państwowa, to „życie nad stan“.

Jak słychać, są projekty zmniejszenia ilości urzędów i np. projektuje się zmniejszenie o około 30% ilości urzędów wojewódzkich, jednocześnie jednak... przybyła już jedna izba skarbowa. Niewątpliwie, bez należytego poboru podatków administracja państwa nie utrzyma się, czy jednak drogą umorzenia urzędów pokona się trudności, związane... z ich utrzymaniem?

Droga prowadzi nie przez powiększenie aparatu, który wydusza środki na utrzymanie tego aparatu, lecz przez zmniejszenie tego aparatu.

Nie tykam aparatu obrony państwa, zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz, bo ten wydaje mi się nawet wobec położenia europejskiego raczej za słabym, bez żenady jednak stwierdzam, że Polska ma za dużo innych urzędów.

Mamy Ministerstwa: Spraw Wojskowych, Spraw Wewnętrznych, Skarbu, Sprawiedliwości, Rolnictwa, Reform Rolnych, Przemysłu i Handlu, Poczt i Telegrafów, Robót Publicznych, Komunikacji, Pracy i Opieki Społecznej, Wyznań Religijnych i Spraw Zagranicznych.

Rozbudowywacze szepczą już o wznowieniu Ministerstw: Kultury i Sztuki oraz Zdrowia Publicznego, a są tacy, którzy chcieliby gwałtem wskrzesić aparat aprowizacyjny i podzielić Ministerstwo Skarbu na dwa ministerstwa; wreszcie przebąkiwano już w prasie o „konieczności“ Ministerstwa Lotnictwa, a echo wołało: „i Marynarki“!

„Rozbudowa“ urzędów stała się wprost obłędem niektórych struktur mózgowych i dzięki temu Polska zjada nieproduktywnie nietylko znaczną część swego dochodu, ale ponadto rok za rokiem spożywa częściami swój majątek narodowy.

By nie spotkać się z zarzutem samej negacji i braku tez pozytywnych, pozwolę sobie przedstawić, co wedle mego skromnego zapatrywania wystarczy wyniszczonej eksperymentami Polsce zarówno na dzisiaj, jak i na długo jeszcze w przyszłości. A więc wystarczyłoby nam: 1) Mi-

nisterstwo Wojny — z dzisiejszym zakresem działania, 2) Ministerstwo Spraw Zagranicznych — j. w., 3) Ministerstwo Skarbu — j. w., 4) Ministerstwo Wyznań i Oświaty — j. w., 5) Ministerstwo Sprawiedliwości — j. w., 6) Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — w którem departament Zdrowia Publicznego powiększyłby się o Sprawy Opieki Społecznej — wreszcie 7) — i ostatnie: Ministerstwo Gospodarstwa Narodowego, z departamentami: a) Rolnictwa i Reform Rolnych, b) Przemysłu i Handlu, c) Robót Publicznych, d) Poczt i Telegrafów (jako organem kontroli nad państwowym autonomicznym monopolem pocztowym), e) Komunikacji (jako organem kontroli nad państwowemi — i ewentualnie prywatnemi — przedsiębiorstwami kolejowemi, żeglugowemi i lotniczemi) — wreszcie f) departamentem Pracy, którego działalność w takiem Ministerstwie byłaby pięknie sharmonizowana z potrzebami gospodarki narodowej.

Aprowizacja, która jak jemioła kwitnie na Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, mogłaby znaleść swój kącik przy tem ministerstwie.

W drugiej instancji, po wyłączeniu Śląska i stolicy, czyniłyby województwa w liczbie nie większej, niż 10, zadość potrzebom administracyjnym państwa. Do rządu władz zespolonych w II instancji winny, oprócz dzisiejszych, należeć izby skarbowe, urzędy ziemskie, górnicze, kuratorja szkolne i inspektoraty pracy. Żadne demagogiczne argumenty, przeciwne temu zespoleniu, nie mogą przeważyć korzyści ekonomicznych, jakie dałoby zespolenie. Dyrekcje kolejowe i dyrekcje poczt byłyby sprawą wewnętrznej ekonomji odnośnych przedsiębiorstw samowystarczalnych.

Analogicznie, z pewnemi drobnemi zmianami względnie odchyleniami, można przeprowadzić zespolenie w instancji pierwszej. Największy, powiedziałbym: czysto mechaniczny — szkopuł, mogłoby przedstawiać zespolenie władz skarbowych. Są to tak wielkie polipy na orga-

niżmie społecznym, że już swemi rozmiarami zdają się zaprzeczać możliwości zespolenia ich z urzędami wojewódzkimi, czy powiatowymi. Trudności leżałyby zarówno w organizacji skarbowości, która jest nastawiona na: podatnika-oszusta, jak i w systemie podatkowym, który jest nastawiony na: podatnika-burżuja. Twierdzenie, że przebudowa ustroju administracyjnego jest na krótszą metę niemożliwą, jest jaskrawą przesadą, głoszoną przez tych, którzy mają w tem bądź interes osobisty, bądź głoszą to z pobudek demagogicznych, nic z dobrem publicznem wspólnego nie mających.

Obawa przed przebudową ustroju podatkowego jest też wynikiem braku orjentacji, zagadnienie bowiem, mimo chęci strojenia go w skomplikowane formy wywodów neoekonomicznych, jest bardzo proste: kapitał przyjdzie do nas i zatrudni wszystkie bezrobotne, a chcące pracować elementy, jeśli będzie miał gwarancję opłacalności i bezpieczeństwa zwrotu. Na pożyczki „zagraniczne", których bony kupowane są często przez „krajowych cudzoziemców", nie będzie trzeba zastawiać monopoli i płacić procentów, mieszczących w sobie premje ryzyka, jeżeli stworzy się warunki konkurencji kapitałów. Jesteśmy terenem pod wielu względami jeszcze dziewiczym, a jeżeli mimo to kapitał od nas ucieka, to jednak wyłącznie dlatego, że „żyjemy nad stan", że jesteśmy tak rozbudowani, jakby nam do szczęścia nic ponad te wszystkie urzędy i instytucje nie brakowało.

Poza redukcją i zespoleniem wielu urzędów, które dałyby znaczne ilościowe oszczędności personalne, pozostaje jeszcze sam problem stanu urzędniczego, który jednak, jako specjalny, zamieszczę w osobnych uwagach.

Polites.

RADOŚĆ ŻYCIA.

Pośród tysięcy podróżnych, przybywających do Polski, czy to z południa, czy z zachodu, znajduje się bezwzględnie znaczna liczba ludzi, którzy bądź dlatego, iż pierwszy raz przebywają tę granicę, bądź przez wrodzony zmysł obserwacji, przyglądają się uważniej wszelkim rzeczom, ludziom i szczegółom naszego życia, a z przeglądu tego, z odniesionych wrażeń, ze swych spostrzeżeń wyprowadzają daleko nieraz idące wnioski tak o kraju, jak i ludziach, innemi słowy, porównywują, ważą i sądzą nas.

Jesteśmy niemile dotknięci, oburzeni nieraz, gdy niespodzianie pojawia się w prasie zagranicznej jakiś bardzo ujemny, przesiąknięty krytycyzmem artykuł; skarżymy się, iż nas niesłusznie krzywdzą ludzie, których przyjmowaliśmy, że wydają powierzchowny sąd, nie znając nas dokładnie. Niestety, zazwyczaj kończy się wszystko na tem chwilowem oburzeniu i zupełnie nie badamy powodów, które tę krytykę wywołały, a co gorsze, czasami zdając sobie z nich nawet sprawę, lekceważymy je, przechodząc do porządku dziennego nad zdaniem jakiegoś tam mało znanego dziennikarza lub podróżującego grafomana.

Nie wszystkie zresztą krytyki są szczere i bezstronne, znaczna ich większość, to zjadliwe paszkwile, umyślnie rozsiewane fałsze. Zbyt wielu i potężnych mamy wrogów, aby nie być stale wystawionymi na oszczerstwa „polityczne“ lub „ekonomiczne“. Boleśnie nas one dotykają, ale głębiej trafić nie mogą. Trafiają nas natomiast, niestety, różne objektywne, bezstronne obserwacje, czasem mylnie komentowane, ale niemniej szczere.

Zresztą nie trzeba być koniecznie podróżującym cudzoziemcem, aby po nieco dłuższym pobycie zagranicą,

zwłaszcza w krajach o kulturze romańskiej, być wprost uderzonym przy powrocie do Polski kilkoma zasadniczymi szczegółami, boleśnie bijącymi w oczy. Dokładnie tę sprawę studjując, możemy nawet długą listę takich bolących cech wystawić. Dotkniemy tu pobieżnie paru, które każdemu kraj miłującemu człowiekowi dolegać muszą, a zastanowimy się dokładniej tylko nad jedną, którą uważamy za niezmiernie ważną, bo tyczącą się wprost duszy narodu!

Przechodząc więc do rzeczy, ze wstydem stwierdzić musimy, że przedewszystkiem rzuca się u nas w oczy normalnie cywilizowanego człowieka — brud! Tak, wyraźnie to trzeba zaznaczyć — poprostu brud! Śmieci są coprawda zamiecione, sprzęty stoją na swoich miejscach, widnieją liczne, zbyt nieraz liczne tablice z rozmaitemi „pouczeniami“ o czystości, pluciu, chodzeniu i przechodzeniu, ale brud, że się tak wyrazimy: immanentny, jest mimo to wszędzie! Nauczyliśmy się jako tako zamiatać i staramy się utrzymywać porządek, ale o używaniu wody inaczej, jak do picia lub „skrapiania“ — pojęcia nie mamy. O myciu mowy niema. Nie myte są podłogi, stoły, drzwi, nie myte chodniki, ani ulice i tu przodować wprost zaczyna stolica kraju, bo gdy dawniej każdy stróż (przepraszam: „dozorca“) musiał przynajmniej zmyć chodnik, to dziś, mimo (a faktycznie z powodu) przejęcia przez magistrat sprawy czyszczenia miasta, nigdy się już ani ulic, ani chodnika nie myje. Proszę nam wybaczyć ten mimowolny wypad na cnotę czystości magistratu stolicy, ale gdy się mówi o brudzie, jest to pierwsza myśl, która do głowy przychodzi.

Wracając jednak do wrażeń podróżującego, stwierdzić musimy jeszcze gorszą rzecz od poprzednio wyliczonych: brudną jest niemożliwie ogromna większość ludności! Wszędzie rzucają się w oczy wątpliwie myte twarze i ręce, chociaż częstokroć jednocześnie odzienie tych ludzi jest przesadnie eleganckie, a z czarnemi obwódkami paznogcie są lakierowane i manicurowane... Ta brudna ludność robi

mylne wrażenie jakiejś nędzy powszechnej, a przedewszystkiem daje przeświadczenie, żeśmy przyjechali na wschód!

Równolegle z tym powszechnym brudem widać rzecz inną: oto we względnym porządku znajdują się tylko te części dworców, peronów, torów kolejowych, które tego bezwzględnie wymagają, wszystkie inne są zaniedbane, nieutrzymane. I tak, gdy zagranicą wszędzie wzdłuż torów widnieją czyste ścieżki, strzyżone żywopłoty, schludne ogródki przy zabudowaniach, a przedewszystkiem moc kwiatów — to u nas nicość zupełna. Nasypy nawet nie koszone, porosłe chwastem tory, zapuszczone rowy, wszędzie „dzikie" ścieżki, pasące się bydło, gęsi, kozy, wszędzie nieużytki, śmietniki, kałuże i wałęsające się obdarte dzieciaki. Ogródków, żywopłotów, kwiatów ani śladu.

Gdy tam, zaraz za naszą granicą, nietylko, że wszystkie drogi są obsadzone pięknemi i pielęgnowanemi drzewami, ale nawet i miedze między polami posiadają jeśli nie drzewa, to przynajmniej żywopłoty, to tu pustka zupełna, lub co gorsza zrzadka, poobdzierane z kory, pokaleczone lub wypalone resztki drzew, bo dawniej i w Polsce dbano o piękno! Gdy tam każde miasteczko odznacza się właśnie tem, iż je otacza wieniec ogródków, że dokoła najuboższego domku widnieją kwiaty, to u nas dojazd do zbiorowych osad ludzkich przedstawia widok śmietnisk, nieużytków, glinianek i jam z gnijącą wodą, wśród których zdają się koczować jacyś nomadzi, grupy ludzi w łachmanach, bezpańskie psy, krowy, gęsi... Nietylko brak tu wszelkiej zieloności i kwiecia, ale wyczuwa się jakiś ostracyzm tego naturalnego piękna, jakieś jakby umyślne niszczenie nawet tej dzikiej swojskiej roślinności!

Wschód, wschód wieje zewsząd! Ten wschód, gdzie to małe, brudne miasteczka, rojące się od brudnego tłumu ludzi i zwierząt, nie posiadają żadnej zieloności i gdzie przed „bramami miasta" leżą kupy śmieci i nawozu, gdze w święta „zasiadają filozofujący mężowie" i gdzie oko mimowoli szuka jakiegoś Hjoba!

Stanu tego nie można tłumaczyć nędzą, brakiem czasu lub rąk roboczych, bo dalszą cechą rzucającą się w oczy podróżnych, to ta jakaś dziwna ospałość i brak ruchu u ludzi.

Brak ruchu rzuca się w oczy przedewszystkiem właśnie na kolejach. Pociąg, którym się jedzie i to dziwnie wolno jedzie, zdaje się być niemal jedynym na danej linji, bo gdy zagranicą wre na stacjach bezustanny ruch, wciąż przyjeżdżają lub odjeżdżają nowe pociągi, ekspresy przelatują, nie zatrzymując się prawie, pomiędzy zaś stacjami mija się co chwila w przeciwnym kierunku idące pociągi; gdy na peronach bezustannie niemal przebiegają nowe fale nowych wciąż przejezdnych, wre bezustanna praca tragarzy, brzmi turkot wózków pocztowych czy bagażowych — to u nas przybycie pociągu na stację wydaje się ewenementem nadzwyczajnym. Zjawia się liczny zastęp t. zw. „gapiów"—ludzi, patrzących na pociąg i podróżnych wzrokiem osłupiałym, tępym, zdumionym, pojawiają się tłumy „odświętnie" wyperfumowanych miejscowych obywateli i spacerują po peronie, jak kuracjusze na deptaku. Ci wszyscy ludzie mają czas na to, mają widocznie zbyt dużo wolnego czasu i wyglądają dostatnio, bynajmniej nie na głodujących bezrobotnych, chociaż n a t w a r z a c h i c h p r ó ż n o s z u k a ć r a d o ś c i i w e s e l a.

Ospałość i brak ruchu widać zresztą i wszędzie dalej: stoją ponuro lub siedzą „odpoczywając" tragarze, budnicy, urzędnicy kolejowi, stoją patrząc i paląc papierosy robotnicy wszelkich typów i dopiero przybywszy do Polski widzieć można ludzi, leżących i śpiących w polu wśród białego dnia!... Obraz ten będzie tembardziej typowym i powszednim, im bliżej do granic wschodnich będziemy podążali, a więc znów w s c h ó d, w s c h ó d w i e j e k u n a m!

Ale te typowo wschodnie cechy kraju wymagałyby osobnego studjum, poważniejszej pracy, przekraczającej ramy artykułu i poruszyliśmy je tutaj tylko jako tło dla jesz-

cze jednej, być może najbardziej niemiłej dla cudzoziemca cechy, a jest nią — wyraz twarzy olbrzymiej większości ludności. Zaraz na wstępie do kraju uderza poprostu przyjezdnego ponurość wejrzenia, jakaś nieufność, smutek czy bezmyślność, jakiś bierny opór przeciwko wszystkiemu i wszystkim, bijący z olbrzymiej większości spotykanych twarzy *).

Zupełny brak tej wewnętrznej radości życia, wesela, promienności, pogody myśli, brak uśmiechu wewnętrznego, który jasno przegląda z oczu, brak jakgdyby spokoju duszy, która zda się być targaną przez jakąś walkę wewnętrzną. Nawet na twarzach szczerych, otwartych, widać jakiś cień, zadumę czy skostniałość. Śmiech wybucha nieraz głośno, lecz czuć w nim bądź sarkazm, bądź szyderstwo, bądź jakieś żądze ukryte, bądź wreszcie — i to najczęściej — bezdenną pustkę „głupiego śmiechu". Istnieje śmiech, lecz brak uśmiechu, wre często zabawa, lecz brak wesela! Czuć, że się tu szuka i znajduje rozrywkę lub zabawę, lecz nie posiada się pogody i wewnętrznego zadowolenia duszy.

Ten wyraz twarzy ogółu naszej ludności jest faktem, nie ulegającym wątpliwości: każdy człowiek, który choćby parę tygodni spędził we Francji, Austrji, Włoszech, wracając do Polski, musi to odczuć, jeśli choć trochę myśli i powinien się nad tym faktem zastanowić, bo ten brak wewnętrznej pogody jest objawem bez porównania groźniejszym od wszelkich przesileń gospodarczych, czy zatargów politycznych, przez które przechodzimy, czy też które nam mogą zagrażać!

Zresztą istnienia tego faktu nikt nam nie zaprzeczy, ale rozmaicie go różni ludzie starają się tłumaczyć; zasadniczo jednak przechodzą nad tą sprawą zbyt łatwo do po-

---

***) Ach, nietylko z twarzy! Niech tylko ktoś spróbuje zainicjować coś pożytecznego, nawet wśród poważnych sfer naszego społeczeństwa, a wnet przekona się, co to znaczy u nas ten bierny, tępy, wrogi wszystkiemu opór!** (Przyp. Red.).

rządku dziennego, sami zresztą nabierając szybko takiego samego wyrazu twarzy.

Jestto wynik klimatu, powiadają jedni, w Polsce bowiem „zima i szarugi trwają przez dziesięć miesięcy, potem zaś mamy już ciągle lato!". Brak nam więc słońca, brak pewnej, niezbędnej ilości kalorji lub ultrafioletowych promieni, brak lazuru południowego nieba i szarzyzna klimatyczna odbija swe piętno na twarzach. Rozumowanie to, może słuszne z punktu widzenia leczniczo-naukowego lub tylko poetyckiego, nie daje nam jednak rozwiązania zagadki. Mogą bowiem te klimatyczne przyczyny być powodem artretyzmów, reumatyzmów, gryp czy złej przemiany materji, lecz nigdy nie mogą odbijać się w ten sposób na stanie duszy ludzkiej, na pogodzie wewnętrznej, płynącej z zadowolenia spełnionego obowiązku, z czystości myśli! Równie, jeśli nie bardziej szarem i mglistem jest niebo północy Francji, Flandrji, Irlandji, Bretanji, a przecież tam wszędzie widzimy twarze jasne i pogodne, uprzejmy uśmiech wita nieznajomego przechodnia, uśmiecha się konduktor w wagonie, uśmiechają subjekci w sklepach, uśmiecha robotnik w polu czy fabryce. Twarze posępne są tak rzadkie, iż budzą zaraz, najczęściej uzasadnione, podejrzenia co do moralnej wartości danych osobników.

Przecież człowiek, posiadający jasną i pogodną duszę, w najgorszym klimacie nie zmieni wyrazu twarzy! Inni, a ci są liczniejsi, twierdzą, że posępność nasza to wynik wojny oraz przesileń gospodarczych i kryzysów społecznych. Wojna trwała u nas o dwa lata dłużej, niżli w innych krajach Europy, długa okupacja wyniszczyła kraj, następnie kryzys finansowy, spotęgowany dewaluacją, a wreszcie ogólne przesilenie gospodarcze i walki stronnictw politycznych tak nieznośnie ciążą na życiu Polski, iż nic w tem dziwnego, że wyżerają na twarzach przygnębienie, troskę i smutek. Tak mniejwięcej rozumują ci, co sami odczuwają na swych barkach ciężar „powojennych cza-

sów", niemniej jednak mylnie tłumaczą źródło braku „radości życia".

Wojna była u nas długa, lecz bynajmniej nie straszniejsza, niźli w niektórych innych częściach Europy. Weźmy dla przykładu taką Szampanję we Francji, w której czteroletnia groza wojny okopowej przeszła wszystko, co można sobie wyobrazić, gdzie ilości gruzów, ruin i trupów tylko świadek naoczny dać może wiarę. A jednak ludność tamtejsza, zaraz po przejściu nawałnicy, równie pogodne miała twarze, jak przed wojną, lub dzisiaj. Klęski powojenne dzisiejszej Austrji lub Węgier są nieporównanie większe od naszych bied, przesilenia ekonomiczne, wstrząsy społeczne, ruchy rewolucyjne bez porównania groźniejsze, a przecież pogoda ducha, bijąca z twarzy mieszkańców tych krain, również nie zniesie porównania z ponurością wejrzenia naszej ludności!

Kryzys ekonomiczny jest zresztą objawem wszechświatowym, trudności życia, ilość bezrobotnych, ciężary społeczne są w innych krajach większe, niż u nas, więc tłumaczenie takie nie wytrzymuje krytyki.

Mówią wreszcie, że ten nasz wygląd, to skutek przeszło wiekowej niewoli — i tu zbliżamy się do prawdziwej djagnozy, dochodzimy do istoty rzeczy, gdyż niewola bardzo silne piętno wywarła na duszy naszego narodu. Nie jest ona jednak bezpośrednią przyczyną tego pesymizmu, czy też beznadziejności duszy, ale przyczyniła się wybitnie do uwydatnienia, wzmocnienia i utrwalenia pewnej, już z czasów niewoli wyniesionej skazy.

O ile brud, brak zamiłowania do kwiatów i zieleni, apatja, bezwład, biernota, są przeważnie cechami wschodu, nabytemi tak przez wiekowe sąsiedztwo z Moskwą, Tatarami i Turcją, jak i przez współżycie z miljonową rzeszą wiecznie nam obcej żydowskiej ludności, o tyle jednak ponurość wejrzenia, zamknięta i nieufna twarz, to niestety dar zachodu, wynik uczuciowej, lecz krótkowzrocznej tolerancji

religijnej, a ściśle mówiąc indyferentyzmu, wywołanego przez współżycie z protestantyzmem!

Przedewszystkiem, aby to twierdzenie uzasadnić, przyjrzyjmy się innym ludom, gdzie katolicyzm i protestantyzm spotykają się wśród tego samego narodu, w tem samem państwie i jednakowych warunkach tak politycznych, jak i ekonomicznych, czy socjalnych. Mamy więc bardzo wyraźny obraz oddziaływania na psychikę ludności wspomnianych różnic religijnych w sąsiednich nam Niemczech.

Tragedją katolickich Niemiec jest właśnie współżycie z Niemcami protestanckiemi. Cały ustrój niemieckiego katolicyzmu cierpi na tem niewymownie, wytworzyła się specyficzna sztywność rozumowania, sceptycyzm, hamowanie transcendentalności pojęć. Na gruncie tym powstał i wciąż jeszcze pokutuje duch modernizmu. Brak wreszcie miłości, tego koniecznego ognia, w którym dusze wypalają swe złoto świętości. Jednakże, pomimo wielowiekowej symbiozy protestantyzmu z katolicyzmem w Niemczech, jakżeż wyraźne są jeszcze różnice między Niemcami katolikami a protestantami! Gdy typ pierwszych widzimy w Tyrolu, południowej Bawarji, Badenji, Nadrenji, jako uprzejmych, pracowitych, cichych, o szczerej i otwartej twarzy, wybitnie gościnnych ludzi, to typ drugich znamy aż nadto dobrze w Prusiech i Brandenburgji, Saksonji czy Hannowerze i właśnie w różnicy wyrazu tych twarzy, w tym braku wewnętrznego uśmiechu natychmiast spostrzegamy, że mistrzem ich był Luter!

Odsuwając na bok wszelkie ujemne cechy charakterów niemieckich, a pozostawiając tylko dodatnie, odrazu możemy odróżnić Niemca katolika od protestanta po jego pogodzie wejrzenia, po wewnętrznem świetle ducha. Przyczyna leży tu wprost w samem oddziaływaniu doktryny katolickiej na rozwój duszy, doktryny, opartej na zasadzie łączności całego Kościoła, wszystkich wiernych żywych i zmarłych, w mistycznem ciele Chrystusa, opartej na łasce i pomocy Sakramentów, gdy w protestantyźmie działa

przedewszystkiem indywidualizm rozumowania, narzucający tej pozbawionej oparcia jednostce reguły i obowiązki, a pozbawiający ją wszelkiej pomocy nadprzyrodzonej. Gdy u katolików życie ducha rozwija się w wolności, miłości i nadziei, a jednostki upadające zawsze widzą otwarty przed sobą trybunał pokuty i przebaczenie — to u najlepszych jednostek protestanckich trwa wieczysty wewnętrzny bój, a u słabych natychmiast górę bierze materjalizm i indyferentyzm religijny. Ta sztywna powaga, zabrnięcie wewnętrzne, pruderja, malują się na twarzach wszystkich narodów protestanckich i wszędzie tam wesołość jest jakby programową, powierzchowną; istnieje tam śmiech, ale nieznaną jest tam wesołość pod jej wewnętrzną postacią, malującą się w uśmiechu i radości życia.

A ta różnica wyrazu twarzy nie jest bynajmniej drobnym szczegółem charakterów, nie jest bynajmniej godnym zlekceważenia objawem, bo stanowi jakby markę fabryczną dwuch zasadniczo różnych systemów, objawia się też i w całokształtcie społecznego życia tych narodów. Protestantyzm prowadzi masy do indyferentyzmu i będąc sam szczytem indywidualizmu religijnego, zamyka dusze ludzkie w ciasnych ramach samokrytyki i formularzach obowiązkowości. Gdy narody takie są wysoko kulturalne i naturalnie uczciwe, to protestantyzm pozbawia je niemal w zupełności wyższych polotów ducha i aspiracji; objawia się to przedewszystkiem w stopniowem zamieraniu sztuki i twórczości ducha, a natomiast zwrot ku materji potęguje mechanizację życia, reglamentację wszelkich jego przejawów. Sprawa społeczna w tych krajach objawia się rozrostem t. zw. socjalizmu państwowego, etatyzmu lub kartelizmu i zabijając stopniowo wszelką samodzielność, wytwarza państwa-machiny.

Przykładem służyć tu mogą Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, gdzie protestancki purytanizm doprowadził już cały ten albrzymi kraj do zupełnie obcej dla europej-

skiego umysłu mechanizacji życia *). Jak powiada chyba bezstronny z katolickiego punktu widzenia pisarz, Duhamel, jest to obraz, wyjęty z opisu piekieł Boskiej Komedji, lecz bez genjusza poetyckiego Dantego. Najbiedniejszy kraj Europy nie powinien zazdrościć wielkiej Ameryce, posiadającej wszystko pod względem wygody, techniki lub bogactwa, lecz pozbawionej jednej tylko rzeczy: szczęścia wewnętrznego jednostki.

Wracając do naszej początkowej myśli i wrażenia, jakie na łacińskiej kultury europejczykach robi nasza ludność, musimy głębiej zastanowić się nad brakiem wewnętrznego wesela wśród społeczeństwa. Kraj, pozbawiony radości życia, nigdy, nigdy nie będzie krajem twórczym, nigdy, nawet przy wysokim stopniu zewnętrznej cywilizacji, nie będzie mógł rozwinąć się należycie, nie zazna szczęścia.

Cóż dopiero mówić, gdy kraj taki jest pół-dzikim, gdy ludność jego zdeprawowała się wiekową niewolą, gdy przesiąkł dziwnie drobnostkowym materjalizmem i częstokroć sam, dobrowolnie, zamyka sobie horyzonty ekspansji, gdy niechętnie patrzy tak na swoją przeszłość, by czerpać z niej naukę życia, jak i na przyszłość, aby móc rzucać główne wytyczne linje swych planów i zadań? Brak radości życia w takiem społeczeństwie pogłębia tylko pesymizm, zniechęca do pracy, pcha coraz to szersze masy ku szukaniu tak zwanej „rozrywki“, co w praktyce przejawia się w rozwiązłości i rozpuście.

Dlatego to właśnie poruszamy tę sprawę, dlatego pragniemy, by się na ten temat rozwinęła dyskusja, byśmy, porzuciwszy stary zwyczaj lekceważenia spraw, które nas osobiście i bezpośrednio nie dręczą, zastanowili się, co należy robić, aby na twarze ogółu powrócił uśmiech.

Kilka lat temu, podczas jednego z obchodów rocznicy 3-go Maja, czytaliśmy wielkie plakaty, wydane przez najwyższe władze państwowe, a wzywające ludność, by „ra-

---

*) Patrz: Georges Duhamel: „Scènes de la Vie Future“.

dowała się społecznie"! I dziś pokutuje gdzieniegdzie drukowane wezwanie do cisnących się przy okienkach urzędów czy banków ludzi, aby „uśmiechali się". Widok takich... naiwności budzi faktycznie uśmiech, ale wręcz odwrotny, niż ten, o którym mówimy, bo jest to bądź smutny, bądź złośliwy uśmiech sarkazmu. W każdym razie takie wezwania dowodzą, że i u nas są ludzie, którzy cierpią nad tym powszechnym ponurym wyglądem społeczeństwa.

Nie łudźmy się też myślą, że wraz z dobrobytem powróci ku nam radość życia, nie łudźmy się nadzieją, że gdy przeminą „złe czasy", gdy zagoją się rany wojny i gdy zapomnimy o przesileniach (bo ta chwila kiedyś nadejdzie!), to niejako automatycznie rozjaśnią się nam twarze! Nie wmawiajmy w siebie, że gdy podrosną młode pokolenia, wychowane już w wolnej ojczyźnie, to i dusza narodu rozpromienieje, nie łudźmy się, bo jeśli nadal w tych samych kierunkach duchowych będziemy dążyć naprzód, nic się z tego nie spełni!

Jak mogą zagoić się rany wojny, jak ma ustąpić zniechęcenie, wywołane kryzysami, jak minąć nam mają złe czasy? Przecież ani najdogodniejsze pożyczki zagraniczne, ani najbardziej celowe socjalne prawa lub racjonalne tayloryzacje pracy oczekiwanego nie wydadzą plonu, jeżeli ogół społeczeństwa nie przeniknie się myślą uczciwej, a więc i wydajnej pracy, oraz opartego na zasadach moralnych rozdziału bogactwa, wynagrodzenia za kapitał, pracę, towar, poszanowania własności, praw człowieka, godności i wartości ludzkiej! Zmiany takie w umysłowości naszej nastąpić mogą jedynie na podstawie powszechnie zrozumianej i stosowanej doktryny społecznej Kościoła katolickiego. Tu niema i nie może być żadnych wątpliwości, ani dyskusji, bo fakt ten stokrotnie stwierdziła już historja, tylko więc zaślepieńcy doktryny, tylko półinteligenci, wychowani przez wiek XIX-ty, mogą jeszcze upierać się przy swych liberalno-postępowych teorjach.

Ale gdzie są właściwie ci ludzie, co u nas znają, rozumieją i głoszą czystą, bez swoistych domieszek społeczną doktrynę katolicką? Gdzież są ci — nie z nazwy, paszportu lub szyldu, lecz z przykładu życia — katolicy?

Może nawet dobrobyt wrócić, kraj nasz może stanie się Krezusem świata, a jednak nic się nie zmieni, bo bez podstaw moralności katolickiej będzie to tylko nowe i znacznie gorsze wydanie wzoru Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie to przy zamożności ogółu, przy olbrzymich fortunach miljarderów, przy całym możliwym komforcie życia, stan duchowy narodu zapada się w coraz to rozpaczliwszą gehennę!

Złoto jest bowiem koniecznym środkiem, lecz nigdy nie może być celem; chyba, że dążyć chcemy do panowania Mammona, do mocarstwa krwi i żelaza Molocha!

Nieziszczalnemi też będą nasze nadzieje na owe młode pokolenie, o ile go nie wychowamy w duchu prawdy Bożej. Tymczasem absolutnie tego nie widać! Młodzież wzrasta w atmosferze dusznej, przygnębiającej, przesyconej kłamstwem politycznem, społecznem, naukowem, a nawet uczuciowem, w atmosferze materjalizmu i walki o miejsca przy żłobie, oddala się stale od świetlanych wzorów klasycznej przeszłości. A robi się to umyślnie, planowo, djabelsko przewrotnie lub mimowolnie przez samo państwo, przez kretynizmem demokratycznym przesiąknięte uczelnie, przez biernotę pozbawionych wszelkiego polotu ducha starszych pokoleń. Uczy się tę młodzież nowości i nowinek, opartych na niczem innem, jak na próżności lub kulcie bezmyślnej machiny, uczy się ją tak, jakgdyby umyślnie chciano zniszczyć resztki podstaw moralności i prawdziwej wiedzy.

Trudno nam tu poszczególne wyliczać fakty, trudno zapuszczać się w rozważanie wszystkich dziedzin wiedzy, bo materjał obciążający tak jest obszerny, iż wymagałby specjalnego dzieła; ale fakty są tak jasne, tak zresztą

powszechnie znane, że nie potrzebują szczegółowych dowodów. Nasz system wychowawczy jest wadliwy i nie wytrzymuje żadnej krytyki, treść podawanych nauk odznacza się bądź niewysłowioną płytkością, bądź rozbrajającą powierzchownością, bądź też, co gorsza, opiera się na fałszu!

Wychowanie zaś — żadne przeważnie w domu, żadne poza szkołą, a eksperymentalno-obłąkańcze w samej szkole! Dziecko rośnie, rozwija się, przesiąka atmosferą indyferentyzmu, amoralności, wreszcie błota ulicy, młodzież jest wprost kierowaną ku niemoralności, instynkt góruje nad wolą, żądza nad sercem! W najlepszym razie troszczymy się o to, by młodzież nasza była bądź „narodową“, bądź „państwową“, czy „demokratyczną“, czy wreszcie „uspołecznioną“, myślimy, by jej zapewnić byt materjalny lub przynajmniej ten papierowy emblemat „oświaty“, zwany maturą, czy doktoratem, a zapominamy, iż przedewszystkiem o to chodzi, aby młodzież nasza była Bożą!

Jeżeli takimi nie są starsi, jeśli ich dusze zamknęła niewola, źli ludzie lub własne namiętności, to niechże przynajmniej dbają, aby młodzi zrozumieli, czem jest Bóg, czem dusza ludzka, czem jedyny cel człowieka na ziemi!

Dwa tysiące lat tradycji edukacyjnej Kościoła więcej chyba znaczą, niźli najpomysłowszy eksperyment jakiegoś dzisiejszego półinteligenta, mianującego się być wychowawcą przyszłych pokoleń!

Eksperyment wychowawczy, grożący dziś zubożałej Europie, to miraż Ameryki, a trzeba być ślepcem, obłąkańcem lub zbrodniarzem, by pragnąć dla nas tego, do czego pod względem ducha doprowadził system purytańsko-materjalistyczny miljonowe rzesze Stanów Zjednoczonych! Ludzie, którzy ostatnio zwiedzili tak Bolszewję, jak i Stany Zjednoczone, więc np. taki G. Duhamel, skonstatowali fakt, trudny w pierwszej chwili do uwierzenia, iż to, do czego Sowiety dążą przez morze krwi, czerezwyczajki, Sołowki i mękę setki miljonów ludzi i do czego notabene do-

chodzą już wielkimi krokami, do tego Stany Zjednoczone Ameryki Północnej doszły już całkowicie, drogą „rachunku, konsekwentnego doktrynerstwa demokratyczno-purytańskiego i ideału złotego cielca“. I tu i tam celem jest opanowanie świata i tu i tam jednostka ludzka zamienia się w narzędzie pracy, niewolnika maszyny, trustu, przedsiębiorstwa i tu i tam wszelki poryw ducha: miłość bliźniego, religja, artyzm, filozofja, sztuka, Nauka (przez wielkie „N“ — panowie!), uważane są za oznaki słabości, odsunięte na plan ostatni, systematycznie wykreślane ze słownika ludzkiego!

Oba te prądy: amerykanizmu i t. zw. białego bolszewizmu, rozprzestrzeniają się po całej kuli ziemskiej, oba opanowywują wszelkie dziedziny życia społecznego, oba się przenikają i wspomagają! Dziś podróżnik patrzy zdumionym wzrokiem, jak wśród pustynnej północy, gdzieś u ujść Jeniseju, gromadzą się setki okrętów handlowych, wiozących towary, broń, amunicję, inżynierów do proletarjackiej Rosji — patrzy i oczom nie wierzy, jak olbrzymie pola Eurazji orzą setki traktorów amerykańskich, a tysiące głodnych nędzarzy zwozi zboże do kolosalnych silosów, specjalnie przez amerykańskich inżynierów budowanych, zboże nie dla głodnych raju bolszewickiego, lecz dla wywołania nędzy w cywilizowanych krajach. Egoizm „państwa“ tak w Sowietach, jak i w Ameryce, nie liczy się z żadnemi prawami innych narodów, nie liczy się też i z prawami własnych obywateli.

Amerykanizm i bolszewizm przesiąkają stale i coraz to silniej społeczeństwa europejskie, przesiąkają wraz z jazzbandami, dancingami, boksem, stylem kubistycznym, karykaturą literatury, sztuki, muzyki, wraz z modami i trykotami, z filmami i specyficznym komfortem, wraz z ekonomiką, trustami, pożyczkami, rzeszami bezrobotnych, dziwacznymi pomysłami wychowawczymi, organizacją i mechanizacją życia tłumu, wraz z rosnącą walką o złoto

i z potęgującem się schamieniem warstw, niegdyś kulturalnych.

Trzeba posiadać ogień ducha i pióro takiego Leona Bloy, aby choć w drobnej przedstawić części, jaką to ohydną klęską ludzkości był wiek XIX! Trzeba mieć genjusz Dantego, aby ukazać, do jakiej to gehenny dąży ludzkość wieku XX! Poganizm w okresie pierwszych lat naszej ery był epoką olbrzymiego upadku ludzkości, a jednak w porównaniu z poganizmem dzisiejszym zdaje się być Arkadją; bo wtedy, w tych czasach ciemności, ludzkość oczekiwała czegoś, oczekiwała nadzieją wielką i pragnieniem wieków przyjścia Zbawiciela. Wówczas to zjawiła się na niebie gwiazda Betleemska, zwiastując światu, iż Chrystus się narodził. A dziś? Dziś ludzkość nie oczekuje niczego w przyszłości, bo o przyszłości nie myśli nawet, a ci, co to świadomi swego dzieła, oczekują nowego objawienia, patrzą na wschód, gdzie ma się pojawić — Antychryst. Lecz gdy ujrzymy światło na niebie, będzie już zbyt późno, światło to bowiem zwiastować będzie Sąd!

Ale, powie nam czytelnik, cóż to wszystko ma wspólnego z uśmiechem na twarzy naszej ludności?

Otóż ma! Ma bardzo wiele wspólnego, bo ten uśmiech znikł już bardzo dawno i w Ameryce i w Rosji! Nie zabiły go jednak ani bolszewizm rosyjski, ani mechanizacja amerykańska, znikł znacznie wcześniej, bo już wtedy, gdy w duszach tych ludów materjalizm stanął na pierwszem miejscu, gdy sekciarstwo zajęło miejsce religji, gdy zapomniano o transcendentalnym celu człowieka i życie skierowano ku dobrom ziemi.

I w Polsce zaniknięcie uśmiechu, a głębiej rzecz tę biorąc — zaniknięcie wewnętrznego zadowolenia i spokoju ducha, datuje się również z czasów, gdy systematycznie, krok za krokiem, wydzierać zaczęto ludziom wiarę. Wiek XVIII-ty wydarł ją sferom najwyższym w imię „wolności"

ducha i pod kierunkiem t. zw. filozofów, wiek XIX-ty wydarł ją t. zw. „inteligencji“, również jakoby w imię wolności i obrony Ojczyzny, a pod przewodniem hasłem interesów materjalnych, najwstrętniejszego egoizmu ekonomicznego, lub rozdętej blagą „nauki“. Wtedy jeszcze lud był wierzącym, a wiara ta była przysłowiową i śmiały się wtedy oczy tego ludu, szczere, otwarte, proste były twarze. Wiek XX-ty świadomy fałsz nauki materjalistycznej i egoizm klasowy rozprzestrzeniał wśród ludu; liberalizm, socjalizm i pozytywizm pseudointeligentów wprowadzonym został przeróżnemi drogami, ale przedewszystkiem przez t. zw. „świecką oświatę“, w najszersze masy i... znikł uśmiech z polskiej twarzy, znikł razem i spokój wewnętrzny dusz, bo odtąd wszędzie tam podświadomie, często w zupełnym mroku, wre bezustanna walka sumienia.

Jednocześnie na powierzchnię społeczeństwa, zrównanego demokracją umysłów, wypełzły wszelkie przestępstwa i zbrodnie. Poza „suchą“ Ameryką i głodną Rosją nigdzie nie spotkamy tyle jawnych i wstrętnych pijaków, co w Polsce, nigdzie — a tu już niemal prym trzymamy — złodziejstwo nie jest tak rozpowszechnionem i bezkarnem. Przeraża ilość zbrodni, samobójstw, oszustw, malwersacji i nadużyć wszelkiego rodzaju; niema też kraju na świecie, gdzieby wydajność pracy była tak niską, gdzieby tyle marnowano cudzego czasu i społecznego dobra!

Gdzieś tam w głębi sumień wre jeszcze walka i twarze są posępne, martwieją w bezwładzie!

Brak uśmiechu na twarzach naszej ludności, to niebywale groźne memento i nad tym faktem zastanowić się muszą kierownicy narodu! Musimy o tem mówić, musimy przedyskutować tę sprawę, bo chodzi o całą przyszłość narodu!

Józef Tyszkiewicz.

KRONIKA.

Cały świat znajduje się pod znakiem kryzysu gospodarczego. Wszędzie kryzys ten wyciska swoje piętno, bynajmniej zresztą nie zawsze ujemne. Pod wieloma względami uczy bowiem rozumu najbardziej nawet zaślepionych doktrynerów, nawracając ich na drogę rozumienia odwiecznych praw, rządzących światem i nie dających się łamać bez wywoływania najgłębszych wstrząśnień.

Cała polityka międzynarodowa znajduje się coraz bardziej pod bezpośrednim wpływem tego kryzysu. Wszędzie szerzy się też przeświadczenie, że poszczególne państwa w dzisiejszych warunkach rozwoju technicznego i współzależności gospodarczej zbyt małym są terenem do zwalczania przesilenia ekonomicznego. Tak więc Liga Narodów w swoim komitecie ekonomicznym jak i konferencje paneuropejskie uznały za najpilniejsze swoje zadanie walkę wspólnemi siłami z kryzysem. Potęga jego łamie beznadziejne, zdawałoby się, antagonizmy międzynarodowe, łącząc w konferencjach państw rolniczych Węgry obok Polski z Rumunją i Jugosławją, Rumunję z Bułgarją i Bułgarję z Jugosławją, tudzież Niemcy z Francją. Miejsce Locarna pomiędzy zwycięzcami i zwyciężonymi wielkiej wojny zajmuje konieczność pogodzenia rozbieżnych interesów zachodnich państw przemysłowych i południowo-wschodnich państw rolniczych. Ten sam prymat gospodarki nad polityką obserwować możemy wewnątrz poszczególnych państw. Wszędzie zadaje on kłam doktrynie, zmuszając kolejno rządy i parlamenty do poddania rewizji „praw nabytych" i zasad, zdawałoby się, na wieki ustalonych. Podczas gdy na konferencjach międzynarodowych mniej lub więcej uczeni teoretycy radzą nad przyczynami bezrobo-

cia i sposobami zaradzenia mu, samo życie zaczyna narzucać poszczególnym społeczeństwom doraźne może, lecz bardziej zapewne skuteczne i trwałe sposoby poprawy zła, wzmagającego się ze zbyt wielką szybkością, by wolno było zaczekać na wyniki dyskusji przy zielonym stole rokowań międzynarodowych i dyskusji parlamentarnych.

W **Niemczech** rozgrywa się najbardziej może w swoich rozmiarach gigantyczna walka pomiędzy pracą a kapitałem, jaką świat oddawna pamięta; stała się ona wręcz odtworzeniem w odwrotnym kierunku walki społecznej, która w ostatnim półwieku przed wielką wojną doprowadziła w całej Europie do wywalczenia przez robotników nietylko względnie wysokich bardzo zarobków, lecz i całego systemu ubezpieczeń od wypadków, bezrobocia i starości, stanowiącego w sumie nadzwyczaj wielkie obciążenie świadczeniami produkcji. Miejsce okrzyczanego dawniej, słusznie czy niesłusznie, „wyzysku" klasy pracującej, zajął zorganizowany terror tejże klasy, zalegalizowany przez parlamenty, stanowiący najdalej idące skrępowanie wolności indywidualnej w stosunku pracodawcy do pracobiorcy i czyniący ze związków zawodowych najpotężniejsze instytucje życia publicznego, z któremi każda władza poważnie musiała się liczyć. Walka klas, wypowiedziana bezlitośnie przez pracobiorców pracodawcom i zmuszająca tych ostatnich do organizacji analogicznej w obronie interesów własnych, nieznośnie zaciążyła na życiu państw i narodów. Reakcja, która się zaczęła, stała się tem gwałtowniejszą. Podczas gdy rozumni politycy wszędzie szerzyć poczęli przeciwko walce klas zasadę solidaryzmu społecznego i objektywizmu gospodarczego, zagrożone kryzysem w swojej egzystencji niemieckie sfery gospodarcze zaczęły usilną kampanję za zmniejszeniem ciężarów publicznych, a więc tak za reformą podatkową i odetatyzowaniem polityki państwowej, jak i za reformą ubezpieczeń społecznych, oraz za obniżeniem zarobków. Państwo odpowiedziało na te dążenia żądaniem obniżenia cen, związki za-

wodowe zaś zareagowały strejkami. Pomimo całej zależności rządu niemieckiego od względów socjal-demokracji, ogólna ewolucja, jak dotąd, coraz wyraźniej idzie w kierunku przełamywania oporu robotników i dostosowania ich zarobków do warunków powszechnej depresji. Tendencją rządu jest naogół, by jak najwięcej osób było zatrudnionych, chociażby z mniejszym zarobkiem (z ewentualną dopłatą państwa) i ze skróconym tygodniem pracy; wychodzi on bowiem ze słusznego założenia, że uprzywilejowanie bezrobotnych przez zagwarantowanie zarobków minimalnych i zbytnie ułatwienie dostępu do funduszu bezrobocia chociażby częściowo tylko bezrobotnym, działa niesłychanie demoralizująco i naraża budżet państwa, i tak już poważnie nadwyrężony czteromiljonowem bezrobociem, na nieobliczalne zupełnie niebezpieczeństwa w razie dalszego jego wzrostu. Skoro zaś w celu zrównoważenia budżetu obcięto pobory bardzo poważnie wszystkim urzędnikom i pracownikom państwowym (jak również i samorządowym i przeważnie też prywatnym z przyczyn analogicznych), tem mniej było racji do uprzywilejowania robotników. W ten sposób jednak spowodowano istotnie dość daleko idący spadek cen, wskutek czego konsumcja może się podnieść daleko skuteczniej, aniżeli wszelkimi sztucznymi środkami, zalecanymi przez przerażonych „niedokonsumcją“ zbyt pohopnych realizatorów racjonalizacji produkcji.

W **Anglji** właśnie rządy socjalistyczne sprowokowały tem gwałtowniejszą reakcję, ponieważ niekrępowane stosowanie doktryn marksowskich doprowadziło to mocarstwo istotnie nad brzeg przepaści. Nietylko bowiem kryzys gospodarczy, lecz przedewszystkiem przeciążenie produkcji fiskalizmem i nadmiernemi świadczeniami społecznemi, oraz podbijanie wszelkich cen rynkowych przez swobodne dopuszczanie wszelkiego wwozu z zagranicy i skandaliczne nadużycia w szafowaniu funduszem bezrobocia spowo-

dowały tak przerażający wzrost bezrobocia, które wkrótce już osiągnie podwójną w porównaniu ze stanem przy objęciu władzy przez labourzystów wysokość. To też z podziwu godną szczerością socjalistyczny kanclerz skarbu Snowden napiętnował publicznie w parlamencie ten stan rzeczy, zapowiadając katastrofę, o ile społeczeństwo nie zgodzi się na nader bolesne zarządzenia oszczędnościowe, dotkliwe tym razem nietylko dla klas „posiadających“, lecz niemniej i dla uprzywilejowanej klasy robotniczej. Mowa ta wywołała burzę w obozie socjalistycznym, powodując w nim nawet rozłam i przyspieszając, być może, zapowiadany w niedalekiej przyszłości upadek rządu. Była ona już jednak ostrzeżeniem w ostatniej chwili, gdyż produkcja angielska dalszego obciążenia fiskalnego już nie wytrzyma; przerażający zaś odpływ kapitałów i złota do Francji uprzytamniał socjalistom w sposób dość wyraźny, że władza ich ma granicę, której przekroczenie groziłoby państwu bankructwem. Równocześnie zaczęła się w Anglji walka o obniżenie zarobków w celu obniżenia cen, walka, staczana z dążeniem robotników do redukcji godzin pracy, zwłaszcza w kopalniach, dążeniem, cieszącem się poparciem rządu, lecz rozbijającem się pomimo strejku o opór przemysłowców. W takich warunkach rząd Mac Donalda zmuszonym był ukorzyć się przed kapitałem międzynarodowym, którego drugą stolicą obecnie (po Nowym Yorku) stał się Paryż. W rezultacie, jak wiadomo, rząd labourzystów zmuszonym był do zawarcia daleko idącej ugody z Francją, na przekór Niemcom, której ukoronowaniem stał się zawarty ostatnio pakt rzymski, wciągający Włochy w orbitę porozumienia francusko-angielskiego.

We **Francji** kryzys gospodarczy, od którego zresztą ten kraj najbardziej ze wszystkich zdołał się zabezpieczyć, spowodował przedewszystkiem daleko idące wzmocnienię się ustroju kapitalistycznego. Troska o zabezpieczenie

rentowności warsztatów pracy, strach przed dumpingiem sowieckim, coraz silniej dającym się we znaki zachodniej Europie, wstręt do fiskalizmu i etatyzmu, oczywiste pogorszenie się stosunków społecznych wskutek zaprowadzenia na wzór Niemiec i Anglji powszechnego obowiązku ubezpieczeń od chorób, bezrobocia i starości i t. d., cały ten splot przyczyn doprowadził, pomimo fatalnego rozbicia partyjnego w parlamencie, do zdecydowanej przewagi elementów, zainteresowanych w ochronie państwa przed wszelkimi eksperymentami doktrynerów radykalnych i socjalistycznych. Wpływ kryzysu gospodarczego okazał się w parlamencie silniejszym w swoich pozytywnych wskazaniach od hasełkowej demagogji, któraby w warunkach rozpasanej demokracji parlamentarnej, będących charakterystyką współczesnego ustroju Francji, inaczej zawsze mogła liczyć na powodzenie.

Kryzys gospodarczy tak samo zmusił **faszyzm włoski** do opamiętania się. Wzrastający deficyt budżetowy i dochodząca do trzech czwartych miljona armja bezrobotnych wymagały koniecznie redukcji zbyt wydętego nacjonalistyczno-etatystyczną gospodarką budżetu. Państwo obniżyło pobory swoim funkcjonarjuszom i spowodowało wszystkie przedsiębiorstwa prywatne do daleko idącego obniżenia płac personelowi administracyjnemu i robotnikom. Równocześnie zredukowano radykalnie ciężary samorządowe i osiągnięto dość duży spadek cen, który skompensował ofiary, poniesione przez urzędników i robotników. Kryzys gospodarczy i potrzeba uzyskania kredytów zagranicznych zmusiły również Włochy do zaprzestania wyścigu zbrojeń i polityki podtrzymywania tendencji rewizjonistycznych (i intryg sowieckich), oraz do porozumienia się z Francją i Anglją.

Również i inne państwa Europy wkroczyły pod wpływem kryzysu gospodarczego na tory polityki realnej, wrogiej wszelkiej demagogji na wewnątrz i na zewnątrz. W całym szeregu państw widzimy usiłowania do redukcji

budżetu, chociażby kosztem wysokości poborów urzędniczych, celem umożliwienia obniżenia podatków. Tendencja, wiążąca obniżanie cen z obniżaniem zarobków, potanienie kosztów produkcji ze zmniejszeniem dławiących ją świadczeń publicznych, staje się coraz potężniejszą w społeczeństwach Europy, zaczynających coraz bardziej rozumieć, że dobrobyt klasy pracującej jest ściśle uzależniony od dobrobytu warsztatów produkcji i ich właścicieli, że więc nie może być przeciwstawionym dobrobytowi tych ostatnich, tem mniej więc okupionym ich ruiną. To samo tyczy się wzrastającego zrozumienia, że jakakolwiek walka z kryzysem gospodarczym wewnątrz danego państwa nie jest możliwą bez porozumienia ze współzainteresowanemi państwami innemi, że więc nacjonalizm jest takim samym absurdem z punktu widzenia objektywizmu gospodarczego, jak i socjalizm. Czas najwyższy, by i w Polsce wszyscy rozumieli te prawdy i memento dziejowe, przebijające z współczesnej ewolucji Europy. Walka z kryzysem gospodarczym, chociażbyśmy się pocieszali jak najbardziej jego powszechnością i „interdependencją ekonomiczną", nie może być prowadzona z powodzeniem bez szczególnego naszego wysiłku i współdziałania.

I państwo polskie, czy chce, czy nie chce, będzie musiało zredukować bardzo wiele w obecnym swoim zakresie działania, zaś „prawa nabyte", „zdobycze społeczne" oraz wszelkie pobory i płace „proletarjatu" urzędniczego i robotniczego będą musiały być dostosowane do warunków powszechnej nędzy, w jakiej się znalazł kraj i przedewszystkiem najliczniejsza jego warstwa — rolnictwo. Im wcześniej to nastąpi, tem lepiej. Wolelibyśmy stanowczo zawczasu i odważnie wprowadzone reformy w tym zakresie, zapowiadane zresztą już oddawna przez rząd, aniżelibyśmy mieli doczekać się samoredukcji budżetu i świadczeń przez ogólną niewypłacalność podatników.
